Rok 1901. Lwów, 13. Stycznia Nr. 2.

TYGODNIK NARODOWY

POLITYCZNY, SPOŁECZNY, EKONOMICZNY i LITERACKI

ILLUSTROWANY

wychodzi każdej niedzieli

pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego.

WARUNKI PRENUMERATY

(z przesyłką pocztową)

W Austryi i Węgrzech	koron:	rocznie 16·—	półrocznie 8·—	kwartalnie 4·—	miesięcznie: 1·40
W Rzeszy niemieckiej	marek:	„ 16·—	„ 8·—	„ 4·—	„ 2·—
W innych krajach europ.	franków:	„ 20·—	„ 10·—	„ 5·—	„ 2·—
W Ameryce północnej	dolarów:	„ 4·—	„ 2·—	„ 1·—	„ 1/2
W Ameryce południow.	franków:	„ 25·—	„ 13·—	„ 7·—	„ 3·—

PRENUMERATĘ należy uiszczać zgóry.

Najdogodniej jest przesyłać pieniądze przekazem pocztowym adresując:

Administracya „TYGODNIKA NARODOWEGO“ Lwów Cicha 5.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą oraz Biura dzienników.

Numer pojedynczy kosztuje 40 halerzy.

OGŁOSZENIA

po 12 halerzy od wiersza petitowego w jednym łamie przy umieszczeniu jednorazowem. Ogłoszenia kilkurazowe za stosownym rabatem.

DONIESIENIA w rubryce „NADESŁANE“ po 30 hal. od wiersza.

DROBNE OGŁOSZENIA po 3 halerze od wyrazu.

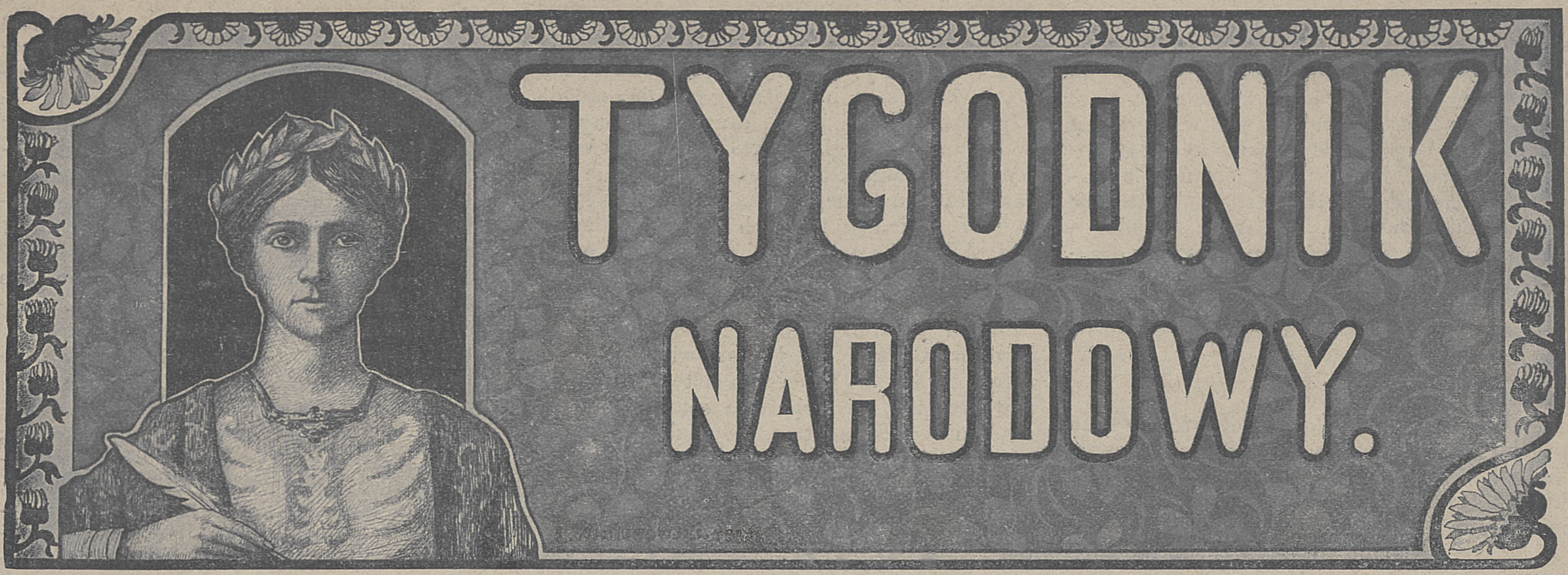
ZAŁĄCZNIKI do „Tygodnika Narodowego“ po 2 korony od 100 egzempl.

Ogłoszenia (płatne we Lwowie) przyjmują: Administracya „Tygodnika Narodowego“ we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5., oraz Biura ogłoszeń w kraju i za granicą.

Biuro Redakcyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Biuro Administracyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

Rok 1901. Lwów, 13. stycznia. Nr 2.



Redaktor: Klemens Kołakowski. **Redakcya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11, Administracya przy ul. Cichej l. 5.**

Treść Nr. 2:

Od Administracyi.

Szanownym Czytelnikom, którzy uiścili przedpłatę za cały rok z góry, donosimy, że premia (Album) będzie gotową z końcem bieżącego miesiąca i natychmiast rozesłaną. — Drugą premię bezpłatną (jedną z powieści hr. Wojciecha Dzieduszyckiego) można otrzymać już obecnie po nadesłaniu 40 halerzy w znaczkach pocztowych na opłatę przesyłki.

Prenumeratorowie, którzy złożyli tylko częściową należytość, otrzymają powieść hr. Dzieduszyckiego dopiero przy zapłacie prenumeraty za ostatni kwartał roku bieżącego.

Zwracamy uwagę, iż każde z dzieł, przeznaczonych na premię, w cenie księgarskiej równa się prawie wysokości całorocznej prenumeraty „Tygodnika“.

Kuchnie ruchome.

Lwowska Rada miejska rozwija na polu społecznem bardzo dodatnią działalność i nie szczędzi ofiar, aby tylko przyjść z pomocą tym najbiedniejszym, którzy pozbawieni wszystkiego, bo nawet bardzo często pracy, żyją w nędzy, o głodzie i chłodzie i toczą ciężką, aż nazbyt ciężką walkę o byt, o kawałek suchego chleba. Nędzy tej, kto jej widział, nie pojmie, nawet opisy Dantego nędz piekielnych bledną przed tą rzeczywistością. Setki ludzi bez chleba, bo o robotę w zimie trudno nadzwyczaj, setki ludzi nie widzą całemi tygodniami strawy ciepłej, bo niema jej za co kupić, a rozdzielana przez Tow. św. Wincentego à Paulo zupa rumforska nie dla wszystkich wystarczy, bo tylu jest łaknących; setki ludzi bez dachu nad głową, szukają na noc schronienia po rozmaitych norach, piwnicach itp. i stosunkowo drogo jeszcze muszą za ten nocleg płacić. Nędza olbrzymia, a obowiązkiem społeczeństwa jest przyjść jej z pomocą.

Nasza Rada miejska, dzięki głównie inicyatywie prezydenta dr. Małachowskiego, który przy obejmowaniu swych rządów główny nacisk położył właśnie na akcję w kierunku społecznym, ku dążeniu do usunięcia niesprawiedliwości społecznych, i na tej drodze, poparty skutecznie przez wiceprezydenta p. Michalskiego, kroczy naprzód, łagodząc nędzę, niosąc pomoc tam, gdzie ona najpotrzebniejsza i gdzie prawdziwą korzyść przynosi całemu społeczeństwu, zmniejsza liczbę niezadowolonych.

Miejskie biuro pracy oddaje już nie małe usługi, dziś bliską już jest powstania nowa instytucya, która będzie prawdziwem błogosławieństwem dla ubogich. Oto, ze wzoru Warszawy, wprowadza magistrat we Lwowie kuchnie ruchome, które za cenę bardzo niską, będą dostarczać pożywienia dobrego i zdrowego.

W Warszawie kuchnie ruchome, wprowadzone 15 października z. r., cieszą się wielkiem powodzeniem. Wybudowano tam dla nich osobny budynek na Pradze, gdzie pomieszczono kuchnię, i skąd wyjeżdżają wozy na miasto. Wozów tych jest pięć, a każdy z nich zawiera dwa naczynia po 400 litrów kaszy.

We Lwowie kursować będzie na razie jeden wóz i będzie zawierał dwa kotły po 100 litrów objętości. Jedna porcya wynosić będzie 1 litr, tj. dwa głębokie talerze, a kosztować będzie 10 halerzy. Pół porcyi, jeden głęboki talerz, kosztować będzie 5 halerzy. Wóz będzie tak urządzony, że jedzenie będzie zawsze gorące. Gotowane będą: barszcz, kapuśniak, zupa grochowa na wieprzowinie, zupa kartoflana na wieprzowinie i krupnik, jako potrawa postna w piątek. Na 500 litrów płynu dawać się będzie 25 klg. mięsa i kilka klg. kości.

Kuchnie ruchome stać będą pod zarządem braci Alberta, a to daje wszelką rękojmię, że cała akcya poprowadzoną będzie jak najlepiej. Co dnia o przeznaczonych przez magistrat godzinach, wóz taki, będzie się przenosił na pl. Krakowski i na pl. Bernardyński i będzie sprzedawał zupę. Nie wątpimy, że kuchnie ruchome cieszyć się będą wielkiem. powodzeniem i że wkrótce kilka wozów będzie kursowało po mieście.

Kuchnie te wejdą w życie prawdopodobnie już od 1 lutego br.

Z wejściem w życie kuchni ruchomych, spełnia zadanie tylko jeden z zamiarów dr. Małachowskiego. Nosi się on jeszcze z dalszemi planami urządzenia przytulisk noclegowych i kąpieli ludowych.

Zacnym tym zamiarom zasyłamy serdeczne: Szczęść Boże! Oby plany te jak najprędzej w czyn się zamieniły.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Wybory do rady państwa.

Jakkolwiek wybory do Rady państwa nie są jeszcze ukończone, dziś już zarysowują się kontury poszczególnych stronnictw parlamentarnych. Bez wahania powiedzieć można, że nowa Izba będzie o wiele radykalniejszą. Charakterystykę tę odnosimy do wszystkich stronnictw bez wyjątku, ponieważ przez radykalizm rozumiemy nie kierunek, program polityczny jakiegoś stronnictwa, lecz stopień zaakcentowania tego programu w praktyce.

Sam fakt zatem, że do Izby wchodzą stronnictwa pod niejednym względem radykalniejsze, aniżeli poprzednie — tak n. p. niemieckie stronnictwa radykalne na lewicy, jakoteż i agrarne stronnictwo, wypierające Młodoczechów z dotychczasowych stanowisk, — więc też i umiarkowańsze stronnictwa z powodu gwałtowniejszych ataków z różnynh stron będą zmuszone do silniejszego oporu, co w praktyce równa się radykalniejszemu wystąpieniu w obronie swego programu. Ogółem wziąwszy zradykalizowanie Izby jest głównym efektem wyborów do Rady państwa.

Otwarcie sejmu pruskiego.

We wtorek nastąpiło otwarcie sejmu pruskiego. Długą mowę tronową cesarza Wilhelma odczytał imieniem jego, kanclerz hr. Bülow, w charakterze swoim prezesa ministrów pruskich.

Zaczęła się od wiele obiecującego zapewnienia, że „położenie finansowe państwa jest wciąż pomyślne“. Ubiegły rok rachunkowy (1899), pomimo bardzo wzrastających wydatków i potrzeb życia, przyniósł znowu znaczną nadwyżkę w dochodach. Na rok bieżący przewidywana jest zupełna równowaga.

Również i rok 1901, którego zamierzenie budżetowe będzie sejmowi niezwłocznie przedstawione, utrzyma równowagę w wydatkach i dochodach. Znaczne powiększenie dochodów, do czego przyczyniło się objęcie wielu gałęzi pracy publicznej we własny zarząd państwa, tudzież wzrost przychodu z podatków pozwoliły zaspokoić w szerszej mierze wydatki na wszystkich polach administracyi, a zwłaszcza obmyślić zaspokojenie jednorazowych i nadzwyczajnych potrzeb.

Mowa zapowiada hojniejsze wyposażenie budżetów prowincyonalnych zapasami renty państwowej na melioracye miejscowe, zwłaszcza budowę dróg.

Ku żywemu obolewaniu rządu nie zdołano jeszcze wykończyć prac przygotowawczych do budowy kanału mazurskiego, gdyż co do użyteczności takiego kanału panują dotąd różnice zdania w samych Prusach wschodnich, a nawet ze względów kultury krajowej podniesiono poważne przeciw niemu zarzuty.

Mowa zakończyła się ustępem następującym:

„Panowie! Za kilka dni wypełnią się dwa stulecia od chwili powstania królestwa pruskiego. To wspomnienie zagrzewa nas, abyśmy utrzymali i rozwijali dalej to, co w długiej i ciężkiej pracy pod wodzą sławnych monarchów dla wielkości i pomyślności Prus zdobyto. Jego królewska mość pewny jest, że nie zabraknie mu w tym celu ofiarnego i rozumnego współdziałania ludu pruskiego i jego konstytucyjnej reprezentacyi“.

Odpowiedzialność kanclerza rzeszy.

Samowola, z jaką rząd niemiecki bez zasięgnięcia rady parlamentu przedsięwziął wyprawę do Chin, utworzył tymczasową armię kolonialną, wyznaczył znaczne fundusze na pokrycie kosztów swej akcyi zbrojnej, a nawet zaciągnął za granicą blisko stumilionową pożyczkę, uprzytomniła stronnictwom niebezpieczeństwa, wynikające dla państwa z lekceważenia konstytucyi, i skłoniła je do stanowczego wystąpienia w obronie praw narodu.

Lekceważenie i omijanie konstytucyi ułatwia rządowi niemieckiemu brak szczegółowych przepisów o odpowiedzialności osób, kierujących państwem. Istnieje wprawdzie paragraf, według którego za wszystkie kroki rozporządzenia rządu odpowiada kanclerz rzeszy, ale nigdzie nie powiedziano, w jaki sposób można go pociągnąć do odpowiedzialności, kto jest uprawniony do podawania skargi, a kto do wydawania wyroków, jaka kara czeka go w razie naruszenia konstytucyi.

W takich warunkach zdecydywano się z dwóch stron na podanie wniosków o dokładne określenie odpowiedzialności kanclerskiej. Najpotężniejsze ze stronnictw, centrum katolickie, domaga się od rządu, aby przedstawił parlamentowi projekt o ustanowieniu trybunału państwowego, któryby rozstrzygał wszystkie spory pomiędzy rządem a parlamentem, pomiędzy pojedyńczemi państwami rzeszy, a w danych okolicznościach wymierzył kanclerzowi karę za pogwałcenie konstytucyi.

Nie ulega wątpliwości, że cesarz Wilhelm oprze się tym żądaniom. Ograniczenie władzy kanclerskiej byłoby ograniczeniem jego władzy, krokiem naprzód w kierunku konstytucyjnem, gdy cesarz dąży do zmiany w duchu wręcz przeciwnym. Odpowiedzialny przed parlamentem i trybunałem kanclerz rzeszy nie będzie już wyłącznie tylko wykonawcą woli swego cesarskiego pana; odpowiedzialność nakłada na niego nowe obowiązki, ale równocześnie zapewnia mu samodzielność wobec korony. Na to zaś cesarz Wilhelm nie łatwo się zgodzi. Z drugiej jednak strony, hr. Büllow'owi po oświadczeniach złożonych na pierwszych posiedzeniach parlamentu, trudno będzie zwalczać wniosek, zmierzający do zapewnienia parlamentowi tych praw, które kanclerz z własnej woli przyrzekł uszanować.

Watykan a Francya.

Znany ze swej działalności w Chinach biskup pekiński, Favier, przybył w nadzwyczajnej misyi do Paryża i miał posłuchanie u ministra spraw zagranicznych, Delcassé. Przyjazd jego wywołał w prasie francuskiej ożywioną dyskusyę. Przypuszczano, że Stolica Apostolska wysłała go do Paryża, z poleceniem założenia protestu przeciw projektowanej ustawie o zamknięciu kongregacyi duchownych i konfiskacie ich nieruchomego majątku. Mówiono nawet o zerwaniu stosunków dyplomatycznych pomiędzy Watykanem a Francyą i pozbawieniu republiki protektoratu nad katolikami Wschodu.

Były to wieści fałszywe. Biskup Favier przyjął w Marsylii jednego z dziennikarzy francuskich i zapewnił, że Ojciec św. jest jak najlepiej usposobiony względem Francyi. O zerwaniu związków dyplomatycznych nie może być mowy. Stolica Apostolska nie odbierze też Francyi nigdy tradycyjnego prawa opieki nad katolikami Wschodu. Francya zachowa tam swoje dotyczasowe stanowisko.

Mimo to utrzymuje się przekonanie, że biskup Favier w rozmowie z p. Delcassé wspomniał o ustawie, skierowanej przeciw kongregacyom, i będzie starał się nakłonić rząd francuski do porzucenia swoich zamiarów. Przypuszczają też, że w sprawie tej nastąpi porozumienie.

Wojna w Afryce.

Położenie Anglików w Afryce Południowej pogarsza się coraz więcej. Armia wysłana przez Kitchener'a z północy w pogoń za Boerami, którzy wtargnęli do Kaplandu, nie może ich dogonić, oddziały, wystawione przez władze kaplandzkie, nie zdołały ich powstrzymać. Boerowie omijają silniejsze, rozbrajają słabsze oddziały i posuwają się coraz dalej ku południowi, niszcząc po drodze wszelkie środki komunikacyjne. Jeden z największych oddziałów jest już tylko o 4 dni drogi oddalony od Kapsztadu. Władze zażądały posiłków i z pancerników, znajdujących się w porcie, wysadzono na ląd oddział marynarzy z kilku ciężkiemi działami dla obrony miasta.

Prawdopodobnie jednak Boerowie nie myślą o zdobyciu stolicy kaplandzkiej. Przebiegają tylko kraj we wszystkich kierunkach i posuwają się jak najdalej, aby jaknajwiększą część ludności holenderskiej skłonić do powstania. Holendrzy kaplandzcy dotąd na ogół zachowują się spokojnie; pisma angielskie wyrażają jednak przekonanie, że czynią to tylko dla braku broni, ale potajemnie popierają Boerów i dostarczają im wiadomości. Anglicy ze swej strony tworzą wszędzie oddziały ochotnicze, aby przy ich pomocy zmusić nieprzyjaciela do odwrotu i zapobiedz wybuchowi powszechnego powstania.

Pragnąc jaknajszybciej zażegnać niebezpieczeństwo na południu, lord Kitchener ściągnął znaczną część swych wojsk do Kaplandu i w tym celu musiał wycofać załogi z wielu pozycyi transwaalskich i orańskich. Następstwem tego jest znaczne pogorszenie się stosunków także w kraju zajętym. Boerowie i tam okazują wielką ruchliwość i występują coraz śmielej. Nawet miejscowości tak ważne i położone tak blisko głównej kwatery angielskiej w Pretoryi, jak Johannesburg, są zagrożone. Kitchener zawiadomił właścicieli kopalni złota, że nie mogą liczyć na jego obronę, a władze johannesburskie wydalają z miasta wszystkich obcokrajowców, to jest prawie całą tamtejszą ludność, ponieważ dowóz żywności jest utrudniony. W kopalniach przestano znowu pracować, w niektórych Boerowie zniszczyli wszystkie maszyny.

Z Chin.

Rząd chiński zgodził się prawie bez namysłu na warunki podane we wspólnej nocie mocarstw. Ta szybkość decyzyi wywołała wielkie zdumienie w Europie — była rzeczywiście niespodzianką — ale nie przyśpieszyła układów pokojowych. Nie rozpoczęły się one wcale jeszcze. Reprezentanci mocarstw oświadczyli, że nie wystarcza im przychylna odpowiedź rządu chińskiego i że nie przystąpią do ułożenia szczegółowych warunków pokoju, dopóki Li-Hung-Czang i ks. Czing nie podpiszą z zachowaniem wszystkich formalności wspólnej noty.

Nie jest to zaś drobnostka. Podpisując tę notę, Chińczycy zobowiązują się uroczyście do spełnienia wszystkich żądań w niej wyrażonych, pozbawiają się wszelkiej możności złagodzenia warunków, a nie zyskują pewności, że mocarstwa przy układach szczególnych nie zażądają nowych a bardzo wielkich ustępstw.

Li-Hung-Czang zna niewątpliwie zamiary przeciwników i umie im przeciwdziałać, wie, że jedynym sposobem uniknięcia groźnego niebezpieczeństwa jest wobec zupełnej bezsilności teraźniejszej państwa chińskiego uległość, która umożliwi szybkie załatwienie sprawy. Dla tego też nie zwlekano wcale z odpowiedzią na wspólną notę posłów, i niewątpliwie też żądane podpisy na tej nocie znajdą się rychlej, niżby pragnęli niektórzy posłowie.

J. S.

Dzieci — a zimowe wieczory.

(Dokończenie).

— Czego bo też żądacie od nas? pyta kilka głosów zniecierpliwionych. Mieszkanie i tak drogie, iż prawie czwartą część pensyi pożera, ciasne, a chcecie, byśmy jeszcze brali większe i urządzali wygodne, osobne pokoje dla studentów. To niepodobna na dzisiejsze czasy. — Wybaczy, pani łaskawa, ale jest omyłka wielka w zrozumieniu nas. — Wcale tego nie chcemy, by mieszkania były większe, jeśli i te są zadrogie, jak na obecne stosunki, tylko...

— Więc chyba chcecie, aby małe dzieci na długie wieczory zamykać gdzieś w kuchni, lub w ciemnym pokoju sypialnym, a starszym oddać stół i światło na zupełną własność. A czy to inne dzieci nie uczą się w najgorszych warunkach, a przezto uczą się dobrze, może i lepiej, jak te, którym się zanadto dogadza.

— I w tem jest słuszność — lecz ile to z takich biednych dzieci ginie przedwcześnie, ile zapada na całe życie na zdrowiu — ile tam sił i zdolności łamie się — druzgocze — ginie, bo je straszna dłoń, nędza zniweczyła! Lecz czemuż ta kwestya wywołuje rozdrażnienie? Czemu się zaraz Szanowni Państwo obrażacie, gdy chcemy pogawędzić w doniosłej sprawie?... Mieszkanie ludzi średnio zamożnych, sfery urzędniczej — składa się przecież co najmniej z trzech pokoi. Jadalnia, sypialnia i — salon!... Lecz dla całego życia rodziny, dla prac i zabaw — dla przepędzania wszystkich dni codziennych i zimowych wieczorów zawsze, jest przeznaczony pokój jadalny. — Czy nie tak?

Bardzo dobrze. Pokój ten ma najlepsze oświetlenie — najcieplejszy — duży. Tu mają dzieci szafeczki z książkami, tu są ich zabawki. Jeśli w domu już małych dzieci niema, a te, które są, uczą się, więc mogą wspólnie przy jednym stole przesiedzieć 1—2 godziny dla przygotowania lekcyi na jutro, a potem z rodzicami czy na rozmowie, lub zabawie resztę czasu przepędzić. Gdy jednak są młodsze dzieci i jeszcze z niemi bawi się ciocia, lub babcia, a do mamusi przyjdzie sąsiadka, to dzieciom starszym trzeba przeznaczyć miejsce do nauki gdzieindziej. — Czy podobna? gdzie? w salonie?...

— A tak! Gość, który do salonu zawita kiedyś niekiedyś, to rzecz bardziej obojętna od tego Jasia, lub Mańci, którzy zdobywają naukę i pracują mozolnie.

— Ależ tam zimno!...

— Oszczędność, jakkolwiek cnotą jest wielką, w tej rzeczy uznanaby była za skąpstwo. Dać dziecku pokój cichy, wygodny na 2—3 godziny nauki, to znaczy dodać mu zdrowia i swobody i ruchu i wesela, bo ono tam prędzej nauczy się — wraca do waszego pokoju zadowolnione, bawi się z całą swobodą i wyczerpane nauką siły wzmacnia odpoczynkiem i radością.

Ani to światło, dane osobno dzieciom do nauki, ani to opalenie „salonu“ nie wyrówna korzyściom, jakie z takiego zarządzenia płyną. Lecz niestety! Kto wie, jak długo jeszcze z takiemi zacofanemi pojęciami trzeba będzie walczyć, zanim się przemienić je zdoła w postępowe zasady.

Lecz tu za sprawą pokoju — lampy i stołu idzie kwestya druga.

— Byłeś pytany w szkole? — Byłem! — Umiałeś? — Umiałem! Oto, jak rodzice pojmują swoje obowiązki wobec dzieci chodzących do szkoły. Po takiej rozmowie, która, niby to, jako wypełnienie obowiązku, powtarza się prawie codzień — mama zajmuje się swoją rzeczą, tatuś swoją, a chłopak, czy panienka kują lekcye, piszą zadania i — idą znowu do szkoły... Szkoła wyuczy, szkoła wychowa, szkoła uszlachetni, szkoła poprowadzi — słowem — szkoła ma być wszystkiem!...

A jednak poza tą powinnością dziecka wobec szkoły jeszcze jest wielki święty świat pracy matki i ojca nad dzieckiem, wespół z dzieckiem, świat tysiącznych uczuć, myśli, czynów, skojarzeń — przestworów — ram i dróg, i planów... ocean powinności życia... do których szkoła nie powiedzie, bo zamało ma czasu, bo ona tylko w szkole dziecko ma przy sobie, bo ona skrzydłem nauki i rozumu musi prowadzić, a dom może wieść sercem — miłością — cnotą!...

Jak każdy zakład szkolny z początkiem roku układa plan nauki, jak każda klasa i oddział każdy musi mieć swój plan szczegółowy na każdy miesiąc roku szkolnego, tak rodziny, które chcą istotnie dobrze działać w zakresie swoich obowiązków, powinne mieć plan na porę zimowych wieczorów i nie zezwolić na to, aby życie domu całego i dzieci ich zależało od okoliczności przygodnych, jak suchy liść od wiatru jesiennego zależy.

Dziś niema nauki, bo goście są. Jutro niema czytania głośnego, bo idzie się do cyrku. Przez tydzień dzieci nie szły spać o jednej porze, bo przyjechała ciocia. Od października do stycznia nie uważała mama, czy się Musiek modlił choć raz, bo go do szkoły rano ubiera się, jakby miał z sikawką straży pożarnej gonić, a wieczór on siedzi i siedzi przy książkach, aż wszysey spać pójdą...

Przyszła zima — to i kłopoty. Trzeba nowych płaszczyków, bucików, trzeba drzewa, węgla. — Mama chodzi do teatru, ojciec siedzi w klubie, mija wieczór po wieczorze, tydzień po tygodniu, aż — ostatecznie — o tyle niby tylko poszło się naprzód, o ile w szkole zadawano i pytano... Dom nic nie zrobił — bo nie miał planu — bo nie wiedział, co robić — dokąd iść — gdzie prowadzić..

Niestety!... To nie czcza frazeologia, ale prawda widziana zbyt często.

Domy rodzinne — mają swoje czasy wielkich prac, posiewów, orania i zaszczepiania, ale nie znają ich... Nie ma zaś pory lepszej na wychowywanie systematyczne, na prowadzenie dzieci, na kształtowanie ich serc i dusz, jak zimowe, ciche wieczory, w których zasklepiają się rodziny w swem kole, jak pszczoły w ulu. Lato — wiosna — to są już rywale takich prac cichych. Już tu może nas i woła do siebie przyroda piękna, swoboda, pole, las, łąka... a chociaż i wtedy da się wiele zdziałać, jednak inaczej się praca rozwija, wtedy, a inaczej w porze zimowej ciszy i spokoju.

Dr. Kazimierz Rakowski.

Przez ciernie i głogi.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

A cóż, będzie pan rad, gdy panu pół gimnazyum oskarżą o zdradę stanu? Taki radca z Berlina to na naszą reputacyę nic zważać nie będzie — to mu jest *ganz wurst*. On chce aby śledztwo długo trwało, będzie tyranizował nas wszystkich.

Tu przerwał mówiącemu dyrektor, otwierając z nerwowem poruszeniem drzwi: przywołując Korkiewicza.

„Ma pan dowody tego, co pan tu nam mówił o sprzysiężeniu i tajnych związkach?“ zapytał Korkiewicza.

Korkiewicz zaczął dygotać ze strachu: „Dowody? Jakież to dowody? Gdyby pan dyrektor był, toby widział, że dość jest spojrzeć tylko to i dowodów nie potrzeba“.

„Ma pan listę członków tego związku uczniowskiego?“ spytał ostro dyrektor. Którzy to należą do niego?“

Korkiewicz się zmieszał.

„Jakto — którzy?“ — odrzekł. „No ma się rozumieć, że wszyscy Polacy“.

„Panie Korkiewiczu, zawołał ostro dyrektor. Ja pana bardzo proszę, aby pan z władzy żartów sobie nie robił! Bez dowodów, bez dokumentów, bez nazwisk — mam pańskim bredniom wierzyć? Pan się upił, panie Korkiewicz! Od pana wódkę czuć zdaleka! Niech pan idzie do domu się

wyspać, a niech pan nikomu nie opowiada o tych potwornych bredniach, na które nie ma dowodu, bo tylko w takiej, jak pańska, głowie ulęgnąć się mogły! Żegnam pana!"

Gdy Korkiewicz, zmiażdżony dyrektorską logiką, bez słóweczka odpowiedzi, wyszedł, komisarz policyi zbliżył się do dyrektora, z gestem wyrażającym najwyższe uznanie uścisnął mu rękę i rzekł:

„Panie Dyrektorze — z pana jest głowa na ministra!"

Oblicze dyrektorskie zajaśniało aureolą przyszłych, mających na niego spaść zaszczytów i poczęstował komisarza do czarnej kawy koniakiem trzydziestoletnim.

Korkiewicz, wracając do domu, starał się wybrać najdłuższą drogę, aby mieć jaknajwięcej handelków do odwiedzenia i aby jaknajpóźniej przyjść do domu.

Podczas tych wędrówek, Korkiewicz rozmyślał o tem, co go spotkało: „Niema tajnego związku, mówił sobie, — jest źle! Jest tajny związek — to jeszcze gorzej! A dyabli by sobie z takim systemem poradzili. Widocznie niema dziś już sprawiedliwej oceny dla uczciwej pracy! niema!"

Po chwili spotkał znajomego. Był to Polak, Majcherski, kupiec, mający syna w gimnazyum. Majcherski, oglądając się wokoło, czy się nie kompromituje zabardzo, idąc za Korkiewiczem, zaproponował mu „kieliszek".

Gdy już zasiedli w podrzędnej restauracyjce, Majcherski zaczął Korkiewiczowi zachwalać swego syna. „Bo to widzi pan — mówił trącając się z Korkiewiczem kieliszkiem — to jest złoto, nie chłopak. Zdolny, uczy się dobrze, rozwinięty — ale mam z nim zgryzotę, bo to widzi pan, zanadto się z kolegami zadaje, panie tego — książki polskie. — —

„Hm, polityka, rozumiem", mruknął Korkiewicz. „Nie, wcale nie polityka", sumitował się Majcherski. „Gdyby to była polityka, to panie tego, gdybym się o tem przekonał, biłbym bez miłosierdzia" pasy bym z niego darł, bo nasz kraj to nic innego, jak tylko ta polityka zgubiła. Ale on tylko tak, panie tego, książki lubi, więc wypożyczał, zdaje się, od tego tam, jakże no się nazywa?..."

„Od Beńkowskiego, wtrącił Korkiewicz.

„Rychtyk — od niego samego, potwierdził Majcherski. Otóż, czy to nie będzie kłopotu. Z tego powodu!"

„Kłopot może być dla mnie, albo dla pana" rzekł dwuznacznie Korkiewicz, który, choć pijany, wiedział, jak o wódkę się starać.

„Już ja panu kłopoty wielkie wynagrodzę, zawołał Majcherski, — i przyszlę z mego sklepu korzennego kilka butelek dobrego wiśniaku".

— „A niech będzie dobry, rzekł Korkiewicz, to już ja chłopaka poprotegują, i włos mu z głowy nie spadnie".

„Mój dyrektorze, mój kochany, mój złoty", zaczął go ściskać Majcherski. I długo tak sobie świadczyli godność, aż wreszcie Korkiewicz nie był wstanie nic odpowiadać Majcherskiemu, prócz sterotypowego zdania, które w kółko bełkotał:

„Niech pan będzie spokojny o swego syna. Już ja go wykieruję na człowieka!"

Wracali razem. Na ulicy Korkiewicz co chwila przystawał, obejmował za szyję swego towarzysza, nachylał przesiąkłą alkoholem twarz swoją do jego ucha i szeptał: „Wiesz, bracie, powiem ci prawdę: ja jestem ostatnia świnia. Ja dozoruję tych wszystkich gimnazyastów. Ale to tylko z patryotyzmu, bo niejednemu mogę dopomódz! Zawsze jednak jestem świnia!" — Po chwili znowu ta sama historya: „Bracie!, mówi, — wiesz co, powiem ci tajemnicę mego życia: jestem ostatnie bydle, ale jestem dobry człowiek. No daj pyska!"

I tak szli razem, a że droga im wypadła koło piekarni Rudzkiego, więc przechodzili też pod oknami Beńkowskiego. Był to już późny zmrok i w pokoju Stasia się świeciło. Korkiewicz mógł widzieć przez okno siedzącego przy stole Beńkowskiego. Roleta nie była spuszczona, bo już taka ostrożność była zbyteczna. Korkiewicz nie wytrzymał i zapukał. Beńkowski podszedł do okna i wyjrzał.

„Panie Beńkowski — bełkotał Korkiewicz — mojej protekcyi macie do zawdzięczenia, że sprawa wasza skończyła się tylko wydaleniem pańskiem. Dyrektor nie chciał, ale przemogłem to na nim, bo on mi niczego odmówić nie jest w stanie". Powiedziawszy to, pozostawił Beńkowskiego w zdumieniu i potoczył się dalej. Po chwili znowu obejmował Majcherskiego za szyję i mówił mu: „Widzisz — to wszystko robię z patryotyzmu. Bo ja jestem szczery patryota. A cóż ty myślisz?" mówił jakby obrażonym głosem, dopatrując ślad powątpiewania na twarzy Majcherskiego. „Nie wierzysz, żem patryota! No, to się przekonaj teraz!" i gardłowymi, urywanymi tonami zaczął głośno śpiewać: „Jeszcze Polska nie zginęła!"

„No, śpiewaj! wołał na Majcherskiego, śpiewaj ze mną, albo ci powiem, żeś nie Polak".

I dwa pijackie głosy zaczęły śpiewać to basem, to falsetem pieśń o Tej, co „jeszcze nie zginęła", pomimo tylu Korkiewiczów.

Pomimo, że szybko zapadający mrok nie pozwalał już Beńkowskiemu rozpoznawać twarzy przechodzących osób, Staś stał przy oknie i w zadumaniu zdawał się wpatrywać w punkt jakiś, to znikający w ciemności, to ukazujący się znów przez szarą przędzę zmroku.

Myślał, że jego matka, kobieta głęboko religijna, nie bez słuszności mu nieraz mawiała: „Nad każdym człowiekiem, złym czy dobrym, wierzącym lub niewierzącym unosi się ręka Opatrzności. Nie widać jej nieraz, gdy się człowiekowi dobrze wiedzie — ale gdy już upadasz pod brzemieniem nieszczęść, gdy serce twoje przepełnia sama gorycz, wtedy obejrzyj się wkoło siebie, szukaj obok siebie i w sobie samym — tej ulgi w cierpieniu, tej pociechy, a napewno ją znajdziesz!"

Tak mawiała matka Stasia. A on sobie teraz te słowa jej przypominał, bo ta niewidzialna dłoń, co według jego matki jak przy ludziach nieszczęśliwych — nie poskąpiła mu pociechy i to w chwili, gdy jego dusza już się łamała pod naciskiem zmartwienia.

Beńkowski bowiem, wróciwszy z głuchą rozpaczą w sercu do domu po rozmowie z opiekunem, nietylko nie znalazł dobrej wiadomości od kolegów, nietylko nie doznał od nich żadnego wyrazu uznania, któryby otuchą napełnił jego serce, ale zastał kilka listów od rodziców kolegów i od nich samych, — listów, w których, zwracając w załączeniu wypożyczone książki, prosili w mniej, lub więcej suchych słowach, aby nie uważał ich za członków biblioteczki. Tak zrobili państwo Mrozowscy, tak zrobili państwo Frankowscy, tak zrobił Felek Misiewicz, który był jednym z najradykalniejszych zapaleńców narodowych. Pisał on teraz, że „z powodu przygotowywania się do egzaminu niema czasu i możności przeczytania książek, które mu Staś wypożyczył, prosi zatem, aby mu żadnych wogóle dzieł nie przysyłał."

„Co za potworne tchórzowstwo, co za nikczemna fałszywość!" myślał Beńkowski, spoglądając na list ten, a równocześnie przemknęła mu przez głowę myśl: Co by się było stało, gdyby tak nie u niego, ale u którego z tych — zrobiono rewizyę i wzięto go na badania? Powiedziałby wszystko, zdradziłby wszystkich kolegów!

A potem druga myśl mu padła ciężarem ołowiu na mózg: Gdybyś ty, Staś Beńkowski, nie był gotów dobrowolnie przyjąć na siebie całej odpowiedzialności za nich, oni by ją sami na ciebie zrzucili! — —

Gdy myślał o tych rzeczach, zdawało mu się, że nagle jakieś ciemności opadają na mózg jego, a myśl, jak oko, przeniesione nagle ze światła w cień, musi się dopiero przyzwyczaić do pomroku, wśród którego ma się obracać.

Był jeszcze jeden list — list od jednego z najbliższych przyjaciół, którego charakter pisma Staś poznał na kopercie.

„I ty nasze drogie ideały zdradzasz, dawny przyjacielu!" — mówił w duszy Beńkowski, z goryczą spoglądając na kopertę.

W chwili, gdy miał właśnie list otworzyć, wszedł do pokoju jego Rudzki i za sobą wprowadził kilka osób. Byli to dwaj krawcy, jeden szewc, jeden kupiec korzenny i handlarz tytoniu i cygar z przeciwka — wszyscy Polacy.

Staś zdziwiony, spojrzał na nich pytającym wzrokiem. Zbliżyli się do niego wszyscy i w milczeniu jeden po drugim ściskali mu rękę, a ten uścisk podobny był do niemego uścisku, jakim przyjaciel wita przyjaciela po ciężkiej stracie.

Staś czuł, że przyszli do niego z przyjaźnią i wdzięczny był im za te uściski. Ta niema scena trwała długą chwilę, aż Rudzkiemu łzy w oczach stanęły, — aż jeden z obecnych, chcąc ukryć wzruszenie, z udanem zajęciem zaczął odczytywać tytuły książek ustawionych na półkach, a drugi hałaśliwie zaczął nos wycierać czerwoną kraciatą chustką.

(Ciąg dalsz nastąpi).

JÓZEF RUFFER.

Muzyka jesienna.

M. OLSZEWSKIEMU.

Les sanglots longs...
Verlaine.



Skrzypcowe jęki łkań agonją
O drżące szyby trwożnie dzwonią,
Przeciągle ronią się i dzwonią
Z jesiennych deszczów monotonją...

„Jam jest królewicz piękny z baśni...
I gram królewnie swojej: „Zaśnij“,
Królewnie-duszy swej gram: „Zaśnij“
„Idź w tysiącletni słodki sen...

„Tam skłonią ci się dziwne dziwy...
„Spij — nie myśl o tem, że rzewliwy
„Z mych strun popłynie płacz przez niwy...
„Zadzwoni w szyby gdzieś trwożliwy...

„O, duszo moja, nie myśl, zaśnij...
„O spij królewno moja z baśni,
„Spij tysiącletni, słodki sen...“

Skrzypcowe jęki łkań agonją
O drżące szyby trwożnie dzwonią,
Przeciągle ronią się i dzwonią
Z jesiennych deszczów monotonją...
„Spij tysiącletni, słodki sen...“

TADEUSZ STERNAL.

(Z papierów pośmiertnych).

Bez woli — bez winy.

SZKIC POWIEŚCIOWY z r. 1772.

(Dokończenie).

XVI.

Po nierównym poziomie więzienia podziemnego chodził wolnemi kroki. Gdy przechodził przez promień światła, wpadający zgóry przez wąskie okienko, przedstawił się strasznie znękany: twarz mu schudła, a oczy pozbawione dawniejszego blasku, świadczyły, że i z tej strony pochodziły cierpienia. Przez ten czas bowiem gdy pomiędzy czterema murami siedział sam jeden ze swojemi myślami, mógł zastanawiać się dokładnie, rozbierać to, co ponad nim robili wolni.

Patrzał wdal, żeby wzrok do ciemna przyzwyczaić i w ten sposób coś zobaczyć.

Przed sobą nic nie widział, pomacał jedną ręką, była ściana wilgotna, zimna, kamienna; obrócił się ku lewej stronie lazł znowu na czworakach i krzyknął nagle. Zobaczył otwór, wielkości małego okienka, przez który było widać maleńką piwnicę, czy coś podobnego, również w takiej ciemności pogrążoną jak i ta w której on się znajdował. Rozpatrzył się bliżej i poznał, że z drugiej strony, tak samo zwalono kupę kamieni wysoką aż do pułapu.

Śmielej wydrapał się, a gdy doszedł do otworu, rozpatrzył się w położeniu, czy nie możnaby dostać się na drugą stronę. Zamiar nie zdawał się być trudnym ale, że kamienie w ten sposób tu ułożone, pozwalały zejść, przynajmniej bez wielkiego niebezpieczeństwa. Wkrótce też w ten sam sposób postępując, co pierwej, znalazł się na wilgotnej ziemi po drugiej stronie ściany.

Szedł więc skwapliwie naprzód, a gdy stanął w miejscu, gdzie już było dużo światła, omal nie krzyknął ze zdziwienia; na posłaniu z dywanów, plecyma doń obrócona siedziała młoda niewiasta, trzymając dziecię przy piersiach, które usypiała. Zadumana nie usłyszała kroków jego po piasku i miałem wysypanej podłodze, to też przez czas jakiś mógł stać zamyślony nie wiedząc, co uczynić. Nareszcie zdecydował się ,snać bo postąpił naprzód I rzekł, jak mógł najłagodniejszym głosem:

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“. Niewiasta na pół przestraszona na wpół zdziwiona, że ktoś przerwał ciszę podziemną, odwróciła głową i rzekła drżącemi ustami.

„Na wieki wieków Amen“, Ale w tej chwili pobladła śmiertelnie i ledwie powstać mogąc, osłupiałym wzrokiem patrzała na Parackiego, który również milczą, stał, jak przybity do ziemi:

„Matko boska...“

„Pani Anno!“ wyrwały się naraz dwa wykrzykniki z dwóch ust.

„Czy możebne... czy mię wzrok myli. Waćpani..· nie śmiem mówić inaczej tu, w lochu!

Ona usiadła napowrót mimowolnie, a dziecię obok złożywszy, słowa przemówić nie mogąc złożyła głowę na dłoniach. Paracki nie poruszył się, czekał na słowa z jej ust. Nareszcie po długiej chwili, może cichej modlitwy, podniosła oczy i wyjąkała:

Tak... ja Anna... Złamałam ci wiarę. Ale przebacz, przez Boga, nie winnam. Mówiono, żeś zginął... „Przebacz matce...“

Dziecko przelęknione głośną rozmową płakać poczęło. Matka wzięła je na ręce, tuląc, zdawała się uspokoić pod wpływem tej macierzyńskiej czynności.

„Ale mów waćpani, skąd ty tu w domu tego szaleńca.“

„To jego dziecko... Przybyłam, tu nie wiedząc co się dzieje, chcąc go choćby tylko zobaczyć, a on, nie wińcie go, ja czuję, że jemu ktoś straszną krzywdę zrobił... on gdy mię zobaczył, począł śmiać się straszliwie i kazał wieść do podziemia“. Już trzeci tydzień, biedny, biedny Adam“. „Nie wie co, robi... i mię tu wtrącił, biedny on, nieszczęśliwy, kto dostanie się w ręce takich ludzi, jak on.

A ty waćpani, ty Anno, którą tak kochałem“ tu męskie łzy spadły mu na piersi, czy mogłem się spodziewać, że cię kto inny weźmie. Nieszczęście, mnie i tobie“, i obróciwszy się, szedł gwałtownie w stronę ku drzwiom, spróbował, były zamknięte. Kilka razy przeszedł wzdłuż i wszerz piwnicę zamyślony, wkońcu zwrócił się w tę stronę, skąd przyszedł. Ale Anna spokojnie, głosem rzewnym, który pamiętał jeszcze tak dobrze z dawnych czasów, zatrzymała go:

„Zostań waćpan. Jeden los nas spotkał, znośmy go wspólnie. Zostań pan

dowiem się, co zaszło, że cię za zmarłego głoszono“.

Zdawało się, że Paracki, w którego pamięci odżyła na nowo w całej pełni owa Anna z pod Lanckorony, czekał tylko tego wezwania, tak żal mu było ukochaną opuścić, gdyż natychmiast wrócił i na zaproszenie jej usiadł obok. Poczęli wspominać dawne czasy, Paracki z pewnym żalem‘ ale bez urażenia Anny, poważnej teraz i niedotykalnej swojem macierzyństwem. młoda matka bez narzekania, gotowa przebaczyć ojcu swego dziecka.

Gdy już opowiedzieli sobie wszystko, a dziecię znurzone usnęło na rękach matki, nastała chwila milczenia. Przerwał ją Paracki.

„Anno, jeśli da Bóg, rzeczy się zmienią, czy nie moglibyśmy żyć dla siebie tem, czem mieliśmy być, gdyby nie przypadki. Wolna jesteś, nic nie stoi na przeszkodzie, abyśmy stanęli do błogosławieństwa przed kapłanem, zaraz gdy stąd wyjdziemy“.

Anna wyciągnęła doń obie ręce:

„Daj Boże! przecież Waćpan byłeś pierwszy, którego prawdziwie kochałam“.

Paracki przytulił ją do piersi.

XVII.

Trzy miesiące życia, w którem chodziło o to tylko, aby zabić wspomnienie teraźniejszosci, zniszczyły i strawiły starostę. Od dni kilku już, a był to koniec lipca, leżał w ciężkiej niemocy. Do siedzącej obok żony, ktora nie opuszczała jego łoża, nie przemówił ani słowa. Ta jednak nie zrażała się, przeznaczenie swoje pełniła wytrwale, posługując bliźniemu, którego ani nienawidzieć, ani kochać, tak jak powinna, nie mogła.

Nagle koło południa podniósł powieki, a wzrok łagodny skierował na żonę. Chwilkę patrzał na nią, jak zatopiona w modlitwie przesuwała różaniec, nareszcie wyszepnął:

„Amelio!“

Żona pierwszy raz zagadnięta w ten sposób, zwróciła się ku niemu.

„Wiesz, miałem sen... dziwny. Śniło mi się, że irawiony pragnieniem szedłem ku miejscu, gdzie biło źródło kryształowe. Ale koło źródła było mnóstwo osób, ci rzucali na mnie kamieniami, nie chcąc ani na krok dopuścić i pokazując na splamione suknie, że powalam wodę. Omal nie spaliłem się z pragnienia, a tu wody gdzieindziej niebyło. Wtem nadszedł człowiek jeden zupełnie podobny do Tego“.

Tu obrócił się i wskazał na karcyfiks.

„Nawet byłem przekonany podczas snu, że to on zlitował się nademną, zobaczywszy mię i rzekł do ludzi: Jemu pozwólcie się napić, ja kazałem tylko takich nie puszczać, co naumyślnie plamili suknie Jego na gościńcu obryzgali błotem inni. Ty zaś — rzekł do mnie — wypierz najpierw szzty w tem źródle“.

Ludzie szemrali, że woda się zanieczyści ale on nakazał milczenie. Już kończyłem prać — a woda była tak przeźroczysta jak pierwej — gdy zbudziłem się. „Daj mi pić — tak chcę pić“.

Podano mu wine; gdy się napił zmrużył oczy, jakby do snu. Ale wnet znowu je otworzył:

„Amelio! dziękuję ci“ i wyciągnął dłoń po jej rękę, aby ją ucałować. „Zawołaj Semena!“

Po chwili wszedł znany nam szlachcic — Karski. „Semenie! ty wiesz, czego ja chcę! Pootwieraj drzwi“.

Semen w samej rzeczy ukłonił się, zrozumiawszy, o co chodzi. Po jakimś czasie weszło dwoje ludzi, Władysław i Anna z dzieckiem na ręku.

„Przebaczcie, jam nie winien. Oszukano mię, a potem, potem byłem pijany“, rzekł konający słabym głosem. Więcej mówić nie mógł zdawało się. Ale raz jeszcze odetchnął i wyrzucił z piersi:

„Amelio! niech wolni.., będą... niech się kochają“.

Anna gwałtownie płakać poczęła i dziecko Amalii oddawszy, przypadła do rąk starosty. Nie była to miłość, było to współczucie, które im jest większe, tem gwałtowniejsze ma objawy. Nagle starosta twarz skrzywiwszy boleśnie, dał niespodziewany znak aby wyszli.

Pozostał sam ze żoną, ale choć leżał spokojnie, poznać można było ulatujące życie.

Nad wieczorem zjawił się posłaniec z listem z Warszawy od teścia. Amalia otworzyła kopertę, widocznie coś ważnego znalazła, gdyż spytała męża, czy może odczytać, kiwnął głową potwierdzając. List zawierał wiadomości, które w innym świetle widziała żona, w innym konający mąż. Donosił o podziale Polski... o udekorowaniu piersi posła i starosty orderami i o nagrodzeniu pierwszego stutysięcy rublami, drugiego dwudziestoma tysiącami.

Amalia, słysząc podczas czytanla krząknięcie przerwała, patrząc na męża. Leżał we krwi, która sączyła się uszyma, nosem i ustami. Rzuciła się z wodą, ale Adam już nie żył, zabrano go w „okolicę źródła“ właśnie w chwili, gdy mowa była o tysiącach rubli.

* * *

W życiu — wyrzekłszy się szczęścia oszołomiającego władze duszy, tamującego swą niezwykłością oddech w piersiach, można znaleść jednak szczęście ciche, jakie daje zwykły bieg życia. Władysław i Anna, pobrawszy się, osiedli w domku księcia Giełży, który wkrótce potem przeniósł się do wieczności, a choć nadzieje Parackiego co do ojczyzny zupełnie zawiedzione zostały, jednak przynajmniej w życin domowem nie doznał goryczy, wychowując synów na pożytek kraju.

Co do innych naszych znajomych, tych rozmaity los spotkał i pani Amelia wraz z matką i ojcem, który właśnie w tym czasie został odwołany, przeniosła się do Petersburga, gdzie zdala od świata zajmowała się jedyną swoją córeczką, która dzięki przebiegłości dziatka miała przynajmnjej nazwisko uczciwe.

Szubalski obłowiwszy się należycie przy sposobności rozbioru, zapragnął ustalenia swego losu. Powiadają, że chcąc się żenić, przeszło pół roku musiał czynić poszukiwania za metryką: przy tej sposobności po raz pierwszy się dowiedział, że jest ewangielickiego wyznania i po ojcu, którego nazwiska nie znał, Niemcem z rodu.

Edward Strumpf.

Z przestrzeni światów.

Źródło elektryczności atmosferycznej. — Jak tworzą się ziarna gradu? — Mierzenie wysokości gór na księżycu. Składniki atmosfery różnych ciał niebieskich. — Ile ciepła dają nam gwiazdy?

„Przed nami stoi świat — bez początku i końca; ani zakreślić granic jego niepodobna, ani przeniknąć tego, co nas bezpośrednio otacza. Ale jak głęboko duch ludzki wdziera się w jego tajniki, tego również nie zdołamy nigdy oznaczyć, ani też kresu postawić temu pochodowi zwycięskiemu...“

Tak pisał Goethe, wielki poeta, wielki przyrodnik i myśliciel, już jako 82-letni starzec, na schyłku życia stojący. Słowa te, tchnące taką wiarą i nadzieją, zawarte są w pracy, w której reasumował wyniki swych pięćdziesięcioletnich badań w nowej, prawie odkrytej przezeń dziedzinie morfologii roślin: „I gdybym nawet miał przypuścić lub zgodzić się, że nigdy nie poznam rzeczywiście istoty swego istnienia, że nie pojmę siebie samego i innych, czyż mam zaprzestać pracy i badań? Wszak posuwamy się coraz dalej i dalej!“ A każdy krok nowy daje zdobycze.

Jedną z najstarszych, lecz zarazem wiecznie młodych, bo wciąż tryumfy święcących, gałęzi nauki o przyrodzie jest badanie nieskończonych przestrzeni śwtatów oraz zjawisk, zachodzących poza granicami powierzchni kuli ziemskiej. Rzecz oczywista, że badania te od samego początku polegać mogły tylko na obserwacyi, obserwacya bowiem zdoła się uporać z odległościami; a chęć wprowadzenia do świadczeń do tych dziedzin nauki o przyrodzie mogłaby wydać się zuchwalstwem zapędów junackich. Jednakże czasy nowsze wyłom za wyłomem tu czynią.

Astronomia posługuje się już dziś nietylko wyliczeniami matematycznemi, lecz na drodze doświadczeń (analiza spektralna) określa skład chemiczny ciał niebieskich, krążących w odległościach nieskończonych. Doświadczeniu zaczynają się też coraz bardziej poddawać zjawiska, które odbywają się wprawdzie w bezpośredniem naszem sądziedztwie, lecz w nieuchwytnem środowisku atmosfery ziemskiej.

Do szeregu tych ostatnich należy elektryczność atmosferyczna. Przypisujemy jej, jak wiadomo, szereg zjawisk, niezwykle groźnych i imponujących, ale dotychczas wciąż jeszcze rozbijamy się o przypuszczenia, których za naukowo niezbite uważać nie można.

Przedewszystkiem nasuwa się pytanie, skąd wzięły się w atmosferze niezwykłe masy elektryczności, któremi naładowane są chmury, ciskające gromy?

Fizyk francuski, p. Pellat, stara się rzecz tę wyjaśnić z pomocą następujących doświadczeń. Używał on w tym celu dwóch płaskich talerzy mosiężnych, które naładowywał elektrycznością, a następnie izolował, aby zawarta w nich elektryczność każdego naczynia była ciągle kontrolowana, czyli mierzona z pomocą czułego przyrządu.

Jeden z tak przygotowanych talerzy p. Pellat napełnił wodą, poczem oba, pełny i próżny, pozostawił przez parę godzin w zupełnym spokoju przy zwykłej temperaturze. Po upływie czasu tego pokazało się, że talerz, który zawierał wodę, prawie zupełnie stracił swój ładunek elektryczny, gdy tymczasem zawartość elektryczności w talerzu próżnym uległa ledwie dostrzegalnej zmianie.

Jak sobie fakt ten wytłumaczyć? Tylko w ten sposób, iż para wodna, powstająca z napełnionego naczynia, uniosła z sobą elektryczność. Można tedy wnioskować, że opary, podnoszące się z ziemi, unoszą też znajdującą się na jej powierzchni elektryczność i udzielają jej atmosferze dotąd, aż napięcie ładunku stanie się tam tak silne, iż spowodować będzie musiało gwałtowne jej wyładowanie.

Słuszność twierdzeń p. Pellata potwierdza też fakt, iż stan elektryczny ziemi jest najsłabszy podczas najgorętszych godzin dnia, zatem wówczas, kiedy parowanie wody na powierzchni ziemi jest najmocniejsze; im więcej unosi się pary wodnej, tem więcej elektryczności winno się udzielać atmosferze od ziemi, a w tej ostatniej ubywać. Pewne znaczenie, jako przewodnik elektryczności, zdają się też posiadać słupy dymu, strzelające z kominów i rozchodzące się w atmosferze.

Drugą ze świeżych zdobyczy meteorologii dały znów przeprowadzone przez p. Kreuschnera w Darmstacie studya doświadczalne dotyczące gradu. Sprawa tworzenia się ziarn gradu, tych ciałek o ściśle określonej budowie i kształtach, stanowi bardzo jeszcze ciemną kwestyę meteorologii. Jakkolwiek w ogólnych zarysach zdajemy sobie do pewnego stopnia sprawę z tego, w jakich warunkach grad powstaje, wszakże brak nam jeszcze danych po temu, aby módz sąd wyrobić o czynnikach, które taką a nie inną postać ziarnek gradu wywołują.

Pewien przyczynek do tej sprawy dają doświadczenia wspomnianego p. Kreuschnera, któremu udało się wywołać w laboratoryum na bardzo małą zresztą skalę grad sztuczny. Doświadczenia te wykonywał on w sposób następujący.

Do naczynia z wodą wprowadza się dwa druty biegunowe silnego prądu elektrycznego, tak, iż jeden z nich wchodzi do naczynia od dołu i sięga prawie do powierzchni wody, drugi zaś z góry niemal do niej dochodzi, wszakże jej nie dotykając. Gdy puścimy prąd o mocnem napięciu, musi on, dla zamknięcia obwodu,

S. K. BATOWSKI.



SPOTKANIE KMICICA Z OLEŃKĄ.

(Scena z „Potopu" H. Sienkiewicza).

przeskoczyć przerwę między drutami; wówczas między końcami obu drutów, z których jeden prawie dochodzi powierzchni wody od dołu, drugi zaś bardzo zbliża się do niej zgóry, woda tworzy zagłębienie w kształcie lejka: z zagłębienia tego wypryskują z siłą małe kropelki wody, a po pewnym czasie — twarde ziarenka, mające kształt zwykłych kulek gradowych.

Doświadczenie to udaje się tylko wówczas, gdy w otoczeniu panuje zupełny spokój i cisza. Wstrząśnienie powietrza, wywołane mocniejszym ruchem ręki eksperymentatora, lub nawet prąd jego oddechu, gdy się zanadto zbliży do przyrządu, już wystarczają, aby przeszkodzić tworzeniu się twardych ziarenek; wypryskują tylko kropelki wody.

Podobne warunki dostrzegamy przed wybuchem burzy gradowej; w powietrzu panuje cisza niezwykła; naczynie z wodą w doświadczeniu — to przesycone wilgocią chmury gradowe, mocno naładowane elektrycznością, która dąży do wyrównania się z odmienną elektrycznością ziemi, wskutek czego powstaje silny prąd elektryczny; być może, iż hen w chmurach tworzą się wówczas wielkie zagłębienia lejkowate (jak w naczyniu z wodą podczas doświadczenia), z których spadają na ziemię, wyrzucane z siłą, mniejsze lub większe, ziarenka gradu.

Opisane wyżej doświadczenia badacza darmsztackiego nazwaliśmy przyczynkiem, albowiem tymczasem nie decydują one jeszcze sprawy, a czy tak jest w istocie, wykażą dopiero dalsze badania gruntowne. Jest to cegiełka, a z cegiełek takich wzniesiony jest wspaniały i misterny gmach wiedzy ludzkiej.

Dotychczas mówiliśmy o t. zw. zjawiskach atmosferycznych, więc zachodzących w atmosferze, bezpośrednio otaczającej kulę ziemską. Umysł ludzki sięga wszakże i daleko poza jej granice. Oto wspólną pracą kilku uczonych europejskich świeżo wydany został szczegółowy atlas powierzchni księżyca z dokładnymi pomiarami znajdujących się na niej wyniosłości.

Ale jakimże sposobem podobna mierzyć wysokość gór na księżycu — zapyta zdziwiony czytelnik — wszak księżyc stał się w mowie potocznej przysłowiowym symbolem czegoś niedoścignionego?

Satelita nasz, jak wiadomo, nie posiada światła własnego, lecz świeci blaskiem, padającym nań od słońca. Każda wyniosłość na jego powierzchni, otrzymując światło z jednej strony, rzuca cień w stronę przeciwną. Otóż, znając położenie księżyca, możemy określić kąt, pod którym promienie słoneczne padają na jego powierzchchnię; znając następnie odległość księżyca od ziemi i wyliczywszy długość cienia, jaki rzuca dana góra, możemy już matematycznie wyliczyć jej wysokość.

Główne zadanie sprowadza się tedy do mierzenia długości owych cieniów. Dotychczas czyniono to wprost w obrazie teleskopu z pomocą odpowiednich, możliwie subtelnych mikrometrów. Jest to jednak sposób zbyt trudny do wykonania, a widać to już z tego, że pomiary tegoż samego cienia, dokonywane przez różnych badaczów, wykazywały niejednokrotnie znaczne różnice, co przy dokładnej metodzie badania zdarzać się nie powinno.

Zamiast tej uciążliwej i niedokładnej metody optycznej wprowadzono inną, polegającą na mierzeniu cieniów gór księżycowych dopiero na otrzymywanych przez teleskop zdjęciach fotograficznych pewnych okolic powierzchni księżyca.

Wyższość tej metody widoczna jest już z tego, że kiedy dawniej różnice liczb, otrzymywanych przy obliczaniu wysokości jednej i tej samej góry przy rozmaitem oświetleniu i przez różnych badaczów, wynosiły dziesiątki, a nawet setki metrów,

obecnie redukują się one do cyfr bardzo nieznacznych. Tak np. pomiary góry Pico dały obecnie przy zachodniem i wschodniem oświetleniu 2,179 i 2,169 metrów (różnica = 10 m.). gdy tymczasem przy stosowaniu dawnej metody Mädler otrzymał 2,152 i 1,986 m., Schmidt — 2,345 i 2,290 m. a Schröter — 2,881, 3,021 i 2,865 metrów

Jak to wszystkim wiadomo, atmosfera, otaczająca księżyc, znacznie różni się od naszej atmosfery ziemskiej, przedewszystkiem brak w niej pary wodnej, stanowiącej znaczną część składową powietrza, które nas otacza. Badanie promieni świetlnych, dochodzących nas od innych planet i księżyców układu słonecznego, dowodzi też, że światło to przebywać musi przez środowiska odmienne, znacznie różniące się od naszego powietrza: każde ciało niebieskie ma tedy swoistą atmosferę.

W królewskim Towarzystwie dublińskiem przedstawione zostało niedawno dzieło, którego autor, p. Stoney, usiłuje rzecz tę na zasadzie swych długoletnich badań wyjaśnić. Wszelka atmosfera składa się — rzecz oczywista — z gazów; według zaś panujących w fizyce poglądów, gaz jest to taka materya, której cząsteczki znajdują się w ciągłym ruchu i niby odpychając się wzajemnie, wykazują ustawiczne dążenie do tego, aby zająć przestrzeń możliwie wielką, a raczej rozsiać się w przestrzeni. Wszelkie ciało niebieskie, dzięki swej sile przyciągającej, przeciwdziała owemu ulatnianiu się cząsteczek materyi gazowych, składających atmosferę i przywiązuje je do siebie

Lecz to przeciwdziałanie posiada pewne granice. Im gaz jest lżejszy, lotniejszy, czyli energia ruchu jego cząsteczek znaczniejsza, tem większa musi być siła przyciągająca, aby gaz mógł być zatrzymany w atmosferze; ta zaś siła przyciągająca znajduje się w bezpośredniej zależności od rozmiarów ciała niebieskiego.

Z tego powodu księżyc, jako bryła stosunkowo niewielka, nie może zatrzymać nawet najbardziej „ociężałych“ składników naszej atmosfery (nie mówiąc już o parze wodnej, która jest lotniejsza od niektórych innych gazów); dlatego też ziemia, jako planeta niewielka, nie posiada w swej atmosferze takich gazów lotnych, jak wodór i helium, albowiem brak jej odpowiedniej mocy do przeciwdziałania ich ulatnianiu się; dlatego para wodna nie może być częścią składową atmosfery Marsa i Merkurego, a masy śniegu, obserwowane przez astronomów na biegunach Marsa, składać się muszą prawdopodobnie ze zgęszczonego kwasu węglanego. Ponieważ jednak kwas węglany stanowi najcięższą część składową atmosfery Marsa, przeto unosić się nie może, jak u nas para wodna w postaci chmur i obłoków; możemy sobie tam najwyżej wyobrazić ścielące się tuż nad ziemią gęste tumany, śniegi i szrony zgęszczonego kwasu węglanego.

Natomiast planety większe, bardziej oddalone od słońca, jak Jowisz, Saturn i Uran, zawierają w swych atmosferach pierwiastki gazowe najlżejsze, najlotniejsze, najbardziej ruchliwe i z największą energią w przestrzeń ulatujące — gazy, których ziemia w otaczającem ją powietrzu utrzymać nie może.

Poprzednio jużeśmy wzmiankowali, że specyalny przedmiot badań stanowi światło, dochodzące nas od dalekich gwiazd i planet. Gdyby nawet było ono najsłabsze, w każdym razie badanie jego promieni wydaje nam się dostępniejsze, niż obliczanie ilości ciepła, jaką ziemia otrzymuje od gwiazd odległych. Już kilka lat temu p. Vernon Boys zbudował dokładny przyrząd (radiomikrometr), z którego pomocą mógł mierzyć ilości ciepła, jakie daje paląca się świeca w odległości około 3 kilometrów; wszakże przyrząd ten był jeszcze zbyt mało czuły, aby można było na nim wyczytać stopień promieniowania gwiazd.

W ostatnich czasach badania tego rodzaju podjął znów w Stanach Zjednoczonych p. E. Nichols. Używany przez niego przyrząd składa się z naczynia o rozrzedzonem powietrzu; w naczyniu tem zawieszona jest na bardzo cienkiej nitce z kwarcu drobniuteńka blaszka miki z poczernioną powierzchnią, dla zwiększenia stopnia tej ogrzewalności. Jeśli na powierzchnię tej blaszki rzucić obraz ogniska promieniującego, np. gwiazdy, wówczas blaszka, rozszerzając się pod wpływem działającego na nią ciepła, powoduje odpowiednie odchylenie potrzymującej ją nitki, a raczej cieniutkiego drucika kwarcowego. Im mocniejszy jest stopień promieniowania badanego źródła ciepła, tem kąt odchylenia pręcika kwarcowego staje się większy.

Przyrząd powyższy jest tak czuły, iż obraz zwykłej świecy, umieszczonej w odległości 24 kilometrów, a rzucony na blaszkę miki z pomocą teleskopu, daje kąt odchylenia o $^{1}/_{10}$ milimetra na znajdującej się w przyrządzie skali. Pod działaniem gwiazdy Arktura odchylenie dochodzi 6 milimetrów, promieniowanie zaś innej gwiazdy, Wegi, wywołuje odchylenie przeszło dwa razy mniejsze Na zasadzie danych powyższych można obliczyć, iż od Arktura otrzymujemy ciepła nie więcej, jak od świecy, znajdującej się w odległości 8 9 kilometrów. Jest to ilość energii tak mała, iż nawet trudno ją sobie wyobrazić — i tylko dziwić się należy potędze z dniem każdym coraz dalej idących badań, które potrafiły ująć tak nieuchwytnie drobne ilości, mierzyć je i określać...

Anna Neumanowa.

PRAGNĘ!

„Pragnę!“ łka ziemia w dniu pierwszym stworzenia
Tchem Bożym z mętnych otchłani dobyta,
„Pragnę!“ jęk idzie wskróś światów i pyta
Stwórcy o wieczną zagadkę istnienia.

„Pragnę!“ łka chmura w obłokach spowita
I z łona ziemi ssie łzawe jej tchnienia,
„Pragnę!“ myśl ludzka mózg targa, niesyta
Wrażeń w gorączce bezsilnej pragnienia.

Stwórco! Czyż starczy błękitom Twym rosy,
By zgasić żądze płomienne milionów
W duszach, co łakną dżdżu życia, jak kłosy,

A patrząc w niebo, tysiącem mrą zgonów?
Czyż syte szczęścia zbudzisz kiedyś głosy,
By pieśń miłości chór zgodnych wszczął tonów?

Dr. Jan Stella-Sawicki.

ALGERYA.

(Ciąg dalszy)

Arabowie, przewodnicy nasi, jadąc na przodzie, bawili się grą wojenną, zwaną u nich fantazja. Są to gonitwy i gry wojenne przez całą ludność arabską nadzwyczajnie lubione. Stawali jeden około drugiego, wypuszczali konie w galop i w najszybszym biegu zeskakiwali z nich, wskakiwali znowu, strzelali do celu i wywijali bronią sieczną z niezwykłą szybkością. Jak jeden, tak i drugi rzucali kopje z taką precyzyą, że trafiali w drobną monetkę położoną na piasku. Zwinność i zręczność Arabów w robieniu bronią da się chyba porównać ze zwinnością i zręcznością czerkieskich dzigitów. Gdy konie i oni sami zmęczyli się dostatecznie, stanąwszy znowu na czele oddziału przewodnicy nasi zanucili pieśń wojenną, smutną, dziką i oryginalną, jak stepy, które nas otaczały.

Na pół drogi między Elkantarą i Bathną znajdują się ruiny wielkiej wsi, niegdyś zwanej El-Utaja. Jeszcze w czasie panowania Turków, plemię zamieszkujące w tem miejscu, powstało. Bej Konstantyny zebrał wojsko na prędce, wyruszył przeciwko powstańcom, rozbił ich i kazał za karę ściąć wszystkie palmy na tej obszernej oazie, oprócz jednej, któraby świadczyła o srogości kary. Kilka dziesiątek lat minęło, a na tem miejscu, oprócz pamiątkowej palmy i ruin, świadczących o barbarzyństwie zwycięstwa — nic więcej niema.

W drodze spotkaliśmy karawanę, składającą się ze stu dwudziestu wielbłądów, które dźwigały na sobie daktyle i różne wyroby Sudanu, dążąc na północ. Przy karawanie znajdowało się kilkanaście psów arabskich, należących do szczególnej rasy; są one białe, ogromne, podobne do wilków i bardzo inteligentne. Francuzi przyuczyli je w Afryce do służby awanpostowej w czasie wojny z Arabami. Każdy oddział w marszu ma przy sobie kilkanaście tych psów, które po przyjściu na nocleg stawią na posterunki naokoło obozowiska po dwa na każden. Awanposty te pełnią służbę tak dobrze, jak ludzie, gdyż przy najmniejszem niebezpieczeństwie cały łańcuch posterunków szczekaniem budzi czujność strzeżonego przez nich oddziału. Trzy razy na dzień trębacz trąbką zwołuje tych szyldwachów; z początku z każdej pary przybiega jeden pies, a gdy zostaje na miejscu, a gdy ten jest już nakarmiony i wrócił na posterunek, kolega jego przybiega po należną mu porcyę jadła; otrzymawszy zaś ją, wraca na dawne stanowisko. Jak mówiono mi, nie było jeszcze przykładu aby oddział strzeżony przez psy arabskie był napadnięty przez nieprzyjaciela znienacka.

Między Arabami są bardzo rozpowszechnione choroby oczu, a mianowicie zapalenia chroniczne spojówki, pochodzące od pyłu, na który są tak często narażeni i od zbytniego działania promieni słonecznych odbitych od żółtej powierzchni rozpalonego piasku. Kobiety smarują rzęsy antimonem, który według ich przekonania ma chronić oczy od zapalenia; stąd wyraz oczu kobiet arabskich ma coś niezwykłego w sobie.

W dalszej podróży przyjechaliśmy na miejsce, w którem było kilka domków arabskich i szkółka dla różnych europejskich drzewek. Tu też znajdowały się ruiny niegdyś bardzo pięknego meczetu zbudowanego w guście arabskim. Około tej oazy ciągnęły się pola zasiane żytem, które już kwitnąć zaczynało — a było to 31 grudnia, gdy u nas ziemia cała, stężała od zimna, leży spowita pod białą nakrywą. Ponieważ tu zatrzymaliśmy się dla odpoczynku, zlazłem z konia i wstąpiłem do mieszkania Araba, prosząc wody do napicia się, a właściwie dlatego, żeby zajrzeć do wnętrza domu. Przypatrywałem się tu robocie burnusów, dokonywanej rękami kobiet. Cóż to za żmudna i ciężka praca, gdyż wszystko jedna i ta sama osoba robić musi. Dzieciom, które mnie otoczyły, opatrując ciekawie cudzoziemca, darowałem kilka kopiejek, które jeszcze miałem przy sobie, przez co zyskałem niezmierne względy u rodziców. Gospodarz wybiegł z domu i wkrótce przyniósł wielkie naczynie drewniane, napełnione daktylami, figami i migdałami, prosząc, bym jadł i wziął na drogę. Nad wieczorem przyjechaliśmy do Bathny, gdzie oddział miał dniówkę.

Na drugi dzień, korzystając z odpoczynku, objechałem całą oazę i w towarzystwie jednego z oficerów francuzkich udałem się do ruin Lambessy, starożytnego miasta rzymskiego. Z całego miasta pozostały tylko dwie bramy, ściany świątyni Eskulapa i pomnik Augusta. Na tym ostatnim, postawionym przez oficerów czwartego cudzoziemskiego legionu, z wdzięczności za dodany do pensyi dodatek, są wypisane imiona tych oficerów, którzy się złożyli na ten pomnik. Widać, że i w czasach Augusta dodatek do pensyi tak samo obudzał wdzięczność ludzką, jak w naszym zmateryalizowanym wieku. Francuzcy żołnierze zajmowali się odkopywaniem ruin i uporządkowaniem ich; mnóstwo sarkofagów, popielnic, połamanych posągów, monet rzymskich i różnej broni odnaleziono. Na robotach w tem miejscu był czwarty legion cudzoziemski na służbie Francyi. Rozkopując ruiny Lambessy znaleziono sarkofag z popiołami Fabjusza Maksimusa, dowódcy czwartego cudzoziemskiego legionu w służbie rzymskiej, jak świadczył nadpis. Można wyobrazić sobie radość Francuzów przy tem odkryciu. Zebrani oficerowie uchwalili sporządzić metalową trumnę, złożyć w niej popioły Fabjusza i pochować je z największą pompą wojskową, a na pomniku umieścić nadpis: „Fabjuszowi Maksimusowi, dowódcy czwartego cudzoziemskiego legionu rzymskiego, oficerowie czwartego cudzoziemskiego legionu francuzkiego". Muzyka grzmiała, odezwały się salwy z ręcznej broni a pułkownik francuzki miał mowę nad trumną, którą zakończył słowami: „Adieu, camarade, adieu!"

Być może, zda się to komu śmiesznem, ale na mnie ta ceremonia zrobiła miłe i poważne wrażenie. Szacunek dla zasłużonych zmarłych świadczy o cywilizacyi społeczności i jest w wysokim stopniu pożytecznym, bo i śmierć nie jest tam straszną, gdzie niema zapomnienia.

W następnym dniu dotarliśmy aż do Smala, francuzkiej wojennej kolonii. Zaledwo stanęliśmy na miejscu, lunął deszcz taki, o jakim my, mieszkańcy Europy, nawet pojęcia nie mamy. Nie były to krople, ale sznury wodniste, które w parę godzin tak zalały równinę, że wszystko stanęło pod wodą. Małe gospodarskie domki zbudowane z drzew palmowych i ze zbitej gliny, były tak wodą zmyte, że pozostały tylko drewniane szkielety. Dwa dni lał deszcz, jak z cebra i rozmiękczył tak ziemię, że ludzie mogli chodzić tylko na szczudłach. O wyjeździe w dalszą drogę nie mogło być nawet mowy, ale uprzejmość i gościnność naczelnika kolonii wynagrodziły sowicie za stratę czasu, gdyż obcując z nim w ciągu pięciu dni, dowiedziałem się bardzo wielu ciekawych rzeczy o obyczajach tamecznych mieszkańców i o stosunku Francuzów do podbitego ludu.

Pożegnawszy się z gościnnym naczelnikiem, na szósty dzień puściliśmy się w dalszą podróż do Biskary. Trudno wyobrazić sobie, jakie ogromne marsze można odbyć na arabskich koniach. W dzień ten zrobiliśmy 25 francuzkich lienes z jednym przystankiem, a w czasie drogi odbywaliśmy jeszcze gonitwy za gazellami dla przepędzenia czasu, a jednak po przybyciu na nocleg, konie nie były ani trochę zmęczone. W drodze naszej spotkaliśmy kilka źródeł siarczanych i solnych. Wogóle soli wszędzie podostatkiem i nie ulega żadnej wątpliwości że tu niegdyś było morze, które z czasem wyschło, parując pod uderzeniami promieni nielitościwie palącego słońca.

W Biskarze zrobiłem znajomość z komendantem miasta, pułkownikiem Soroka, synem polskiego wychodźcy, który już ani słowa nie mówił po polsku, jako też i z innymi oficerami garnizonu, co jako wojskowemu, przyszło mi nadzwyczajnie łatwo. Ze wszystkich stron otrzymywałem zaprosiny, bo każdy rad był rozpędzić swe nudy i urozmaicić monotonne życie w towarzystwie przyjeżdżającego z krajów zupełnie im nieznanych.

Stanąłem w hotelu, którego właścicielem był dawny, uwolniony galernik. Pokój mój znajdował się na niewielkiej przybudowie, na tarasie domu, a przez to miałem przepyszny widok na oazę i na bezmierną pustynię Sahary. Chociaż jeszcze się styczeń nie ukończył, było tak ciepło, że na dni potrzeba było chronić się pod cień drzew, lub namiotów, noce jednak były dość zimne. Codziennie z okna mego widziałem cudownie piękny widok wschodu i zachodu słońca na pustyni Sahara. Słońce powolnie się podnosząc nad poziom, odrazu oblewa promieniami swemi budzącą się ze snu ziemię. W chwili zachodu słońca nie ma tu, jak u nas, tak zwanej szarej godziny. Zaledwo słońce zniknie z widnokręgu, ukazują się gwiazdy na ciemno szafirowym firmamencie, gwiazdy tak jasne i spokojne, jak my, północni mieszkańcy, nigdy nie widzimy, gdyż brak wilgoci w powietrzu czyni go tak przeźroczystym, że nie widać migania światła, a gwiazdy wyglądają, jak w lunecie, to jest w postaci świetlnych punkcików. Cudowny widok oazy z jej palmami, arabskiemi domkami, ostrosłupowemi szałasami murzynów, w nocy, przy księżyca świetle uderza wyobraźnię tem silniej, że bezpłodny step naokoło stanowi dziki kontrast do tej pięknej, rajskiej natury, która nas otacza.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

L. S.

„GIOCONDA“ — dramat Gabryela d’Annunzio.

II.

W rozmowie z Hermanem Bahrem dnia 20. kwietnia roku 1899, po 1-szem przedstawieniu Giocondy w Neapolu, wypowiedział d’Annunzio swoje Credo dramatyczne.

Gniewa mię to —, cytuje Bahr słowa d’Annunz a, — że każdy mówi tylko o moich wierszach i powieściach. Nie chcę być jedynie czarodziejem słowa. Robić najpiękniejsze wiersze nie wystarcza mi. Chcę zająć wysokie, prawie religijne stanowisko, jakie miał poeta starych czasów, jako ten, który więcej wie i więcej wypowiedzieć może; jako objawiciel tajemnej mądrości, pouczający ludzi, co jest jej istotą; jako ten, który wątpiących w życie pociesza a smutnych pokrzepia.

Dlatego wróciłem się do teatru. Chcę znowu uczynić z niego świątynię ludu, który tu słyszy słowa życia, poznaje to, co nad nami włada i uczy się szanować, słuchać i poddawać się przeznaczeniu. Nie chcę robić „widowisk“, przedstawień zjawisk zewnętrznych, które pokazują grymasy naszych twarzy: lecz chcę tworzyć „dramaty“, t. j. objawienia życia, które pozwalają nam uporządkować i odczuć to, co zwykle zdaje się pustem i zagadkowem; które pozwalają nam patrzeć na to, co się z nami dzieje. Bo czemże była grecka tragedya? Otóż, przedstawiała wypadki z życia człowieka, ale tak, że spostrzegaliśmy w nich prawo, że uczuwaliśmy w naszych losach rękę bogów.

Tego samego chce d’ Annunzio. Na czynnościach i cierpieniach dzisiejszych ludzi chce pokazać, czem jest życie. Chce pokazać prawo, które nami rządzi. A prawem tem według niego jest uczucie, że zdajemy się sobie wolnymi, a nie jesteśmy nimi; że uważamy się za kowali własnego losu, a nie jesteśmy niczem innem, jak p o mocnikami, lub narzędziami jakiejś nieznanej potęgi. Zdaje nam się, że my coś czynimy, a tymczasem to z nami tylko coś się dzieje. Wskazujemy zapomocą naszego rozumu na nasze życie, które przecież ma zupełnie inny sens w wiecznej grze nieznanego Boga ze sobą samym. Planujemy, rozważamy, wzdragamy się, wybieramy, postanawiamy, ale to wszystko jest tylko pozorem. Wszystko jest już naprzód postanowione, naprzód ułożone, naprzód ukończone. Wszystko jest niezmienne. A my, nie wiedząc o tem, podczas gdy zdajemy się żyć dla siebie samych, jesteśmy tylko współczynnikami w jakiejś olbrzymiej grze, która wiecznie dla nas zostanie zakrytą. W wielkich chwilach naszego życia czujemy to czasem.

Wtedy wstrzymujemy oddech, patrzymy zdumieni i teraz dopiero wiemy, że wszystko jest innem, że niczego pojąć nie możemy, że prawda spoczywa gdzieś z tamtej strony brzegu. Ale wtedy wiemy także, że jest ona dobrą i piękną i wtedy zaczynamy kochać nasze cierpienia, ponieważ dane nam są przeznaczeniem i wtedy coś zmusza nas dziękować nieznanemu Bogu i wtedy chcielibyśmy przeznaczenie uświetnić. Celem dramatu jest: Pochwała i uświetnienie Przeznaczenia.

Oto jest cel, do jakiego dąży d’Annunzio z całym zapałem gorliwego apostoła, z całą świadomością wielkiego artysty.

I dziwna rzecz, że dziś na różnych punktach Europy, powstają ludzie nie związani ani przekonaniami, ani duchem rasy ani żadnemi węzłami szkół, lub sekt, jeno tęsknotą wielkiej sztuki i poczynają głosić nowe credo dramatu z dziwną jednomyślnością i zgodnością. Odrzućmy bowiem wszystkie różnice zewnętrzne i przypadkowe a rdzeń i istota głoszonych idei jest ta sama. Fundament pod tę wielką sztukę podłożył germanin Wagner. I dzisiaj w Niemczech marzą o niej całe pokolenia duchów, we Francyi tworzy ją Maeterlink u nas Wyspiański.

D’Annunzio (nowa jego powieść Foco) tęskni do niej i próbuje swych sił. I marzy, że dramat powinien ukazać zależność człowieka od przeznaczenia. To jest rdzeń i kręgosłup każdego prawdziwego dramatu od Aischylosa do Maeterlinka i Wyspiańskiego. Dramat urodził się z religii i wielki jest tylko swą religią. Człowiek dzisiejszy utracił z pod stóp grunt religijny. Przestał odczuwać związek swój i zależność od przeznaczenia, które nim włada i rządzi. A przestawszy go odczuwać, uznał go za nieistniejący, osądził że się z pod niego wyzwolił, wyemancypował. I nastąpiła sekularyzacya dramatu, a z nią jego upadek. Przestaliśmy odczuwać, że jesteśmy tylko cieniami, które padają od jakichś potęg nieznanych...

Lecz dzisiaj opada zwolna zasłona z naszych oczu. Przestajemy wołać, że człowiek jest kowalem swego losu a zaczynamy wierzyć, że jesteśmy tylko bierną sztabą żelaza, którą kuje i kształtuje wedle swej woli niezłomny tajemny kowal, przeznaczenie. Jesteśmy bezsilnemi grudami gliny, które ulepia i formuje ręka tajemnego garncarza, mogąca każdej chwili nas miażdżyć i zgruchotać.

Zaczynamy być poddani i posłuszni przeznaczeniu, jak dzieci bezsilne i słabe, którym potrzebne jest jakieś oko czuwające nad niemi. Uznajemy naszą zależność i znajdujemy w smutku naszym cichą radość posłuszeństwa dla Wielkiego, Tajemnego Przeznaczenia.

Jednakże ideału swojej tragedyi d’Annunzio nie osiągnął. Gioconda jest złym dramatem, nie jest wcale dramatem, a jednak jest cudownem dziełem, utworem artysty i poety, pełnem subtelności i siły i dlatego warto o niem mówić. d’Annunzio nie znalazł jeszcze formy dlatego, co chce powiedzieć, dla swej proroczej, wieszczej tragedyi. Gioconda jest dopiero jednym etapem w jego pielgrzymce za wielką, głęboką tragedyą, jest odpoczynkiem, wśród którego wędrowiec doświadcza swych sił. To dopiero próba eksperymentu, szkic.

Mistrz, powieściopisarz — niezdołał jeszcze opanować formy tej nawyższej gałęzi s z t u k i d u s z y, jaką jest dramat.

„Gioconda“, jako dramat, grzeszy przedewszystkiem ekspozycyą bardzo długą i nadzwyczaj niezgrabną. Każda z osób dramatu wchodzi na scenę czasem tylko na to, by już obecna na scenie osoba mogła opowiedzieć dzieje, jakie się wydarzyły przed rozpoczęciem dramatu a z rozmów tych czuć zanadto że opowiadają to nie dla siebie ale w y ł ą c z n i e dla informacyi czytelnika. Wszystko, co dzieje się w dramacie, dzieje się poza sceną, między aktami. Nie widzimy nic. O wszystkiem dowiadujemy się tylko z opowiadania.

A charakterystyka osób? I tej niema. Przez wszystkie mówi autor, a trzeba mu przyznać, że mówi cudownie. Osoby w dramacie nie charakteryzują się same tem, co w dramacie czynią, Ale charakteryzują się wzajemnie słowami. Autor wkłada w usta Francesci wspaniałą charakterystykę Silvii, słowami, i tu jest błąd. Lucia charakteryzuje doskonale i przepięknie stary mistrz Gaddi, znowu słowami. Więc słowa i słowa... A szkoda, że autor nie dał nam tej wielkiej i głębokiej myśli, zapomocą rzucania nam przed oczy, na scenę, żyjących kawałów duszy swych bohaterów. A godną tego była sama myśl Giocondy: że każdy człowiek ma swoje przeznaczenie, któremu ujść nie może, które go pochłania, które jest silniejsze od jego życzeń, od jego rozumu, od jego całego życia; że jeden istnieje po to, by pomagał i strzegł i kochał drugich; inny, aby tworzyć posągi; trzeci, by niszczył. Nikt nie może być czemś innem, niż mu przeznaczono. Przypominają się słowa Kasprowicza:

„Raz przeznaczenie, będąc u siebie samego za sługę, pędziło woły na rzeź. W drodze chciało się wrócić.. Ale nie mogło...“

Może mu się żal zrobiło wołów na rzeź pędzonych?

„Chciało się wrócić, ale nie mogło“.

Cóż pomoże rozsądek? Co pomoże wola? Z łańcucha instynktów naszych nie uwolnić się nam:

Czy pamiętacie słowa Giocondy?

„Nie ma we mnie nic srogiego, nieubłagalnego. Lecz tylko posłuszna być muszę wielkiej jakiejś mocy, która jest nieubłagalną“.

Jaka szkoda, że myśl ta została tylko wypowiedzianą, nie przedstawioną. Fabuła zupełnie myśli tej nie ogarnia. Mężczyzna między dwiema kobietami, jedną dobrą i pocieszającą, orędowniczką wszystkiego dobra i drugą dziką i srogą, lecz piękną niezwykle. Z tamtą chciałby żyć, tej pragnie, by módz tworzyć. Lecz wierzy, że źle postępuje, krzywdząc szlachetną i dobrą dla złej i okrutnej. Chce umrzeć, a opieka dobrej wydziera go śmierci i przywraca życie. I po tem wszystkiem on musi dopełnić miary swego przeznaczenia: krzywdzić szlachetną i dobrą dla złej i okrutnej, bo koniecznem dla niego jest tworzyć a on urodził się, by tworzyć. Jednakże my pytamy się, czego chce Gioconda? Czego chce zła? „Jest przy nim milcząca i piękna, a kto spojrzy na nią, przebaczy jej, bo nigdy w ciele ludzkiem nie kryła się tak wielka tajemnica piękności“, mówi d’Annunzio. Więc nawet piękność jej była tylko narzędziem przeznaczenia, które kazało niszczyć?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Bertold Menkes.

Pani Bednarzewska.

Tylko wyjątkowo obdarza natura człowieka wielką łatwością w uzewnętrznianiu stanów psychicznych. Zwykle działanie na duszę ludzką musi być bardzo intenzywne, aby się na zewnątrz przejawiało. Zdolność więc objawiania zapomocą znaków fizycznych (mowa, gest, wyraz twarzy i t. d.) bardzo subtelnych zmian w ustroju psychicznym, jest bardzo rzadką i nieocenioną. Dawniej, kiedy to aktor był tylko pośrednikiem między aktorem a publicznością, owa zdolność mniejszą odgrywała rolę; obecnie zaś, kiedy aktor współdziała z autorem, kiedy nie tylko o uzewnętrznienie samej postaci musi się starać, ale i o umotywowanie jej pod względem psychicznym, owa zdolność staje się coraz bardziej *conditio sine qua non.*



Pani Bednarzewska jako „Colinette“.

Ową to zdolność przejawiania życia duszy danej postaci spotykam w bardzo wielkim stopniu rozwiniętą u pani Bednarzewskiej. Pani Bednarzewska ani słowa nie powie, tylko się uśmiechnie — a już najlepszy znalazł wyraz stan duszy danej osoby; z oczu jej wybłyska zawsze całe „ja“ danej postaci; jej płacz odkrywa cały smutek i cały ból, jaki rozsadza duszę. Dwa słowa: „Jezus-Marya!“ jakie w strasznej scenie II-go aktu sztuki Przybyszewskiego „Dla szczęścia“ wypowiada, już całkowicie tłumaczą nam napięcie psychiczne, w jakiem się znajduje osoba działająca na scenie.

Jest to — jak powiada Hermann Bahr — „das ganze Geheimnis des Schauspielers: den Menschen durch seine blosse Existenz wohl zu thun, wie einem Blumen wohl thun, bloss dadurch, dass sie auf der Welt sind“. I takiem jest właśnie działanie pani Bednarzewskiej na scenie.

Niektórzy uważają panią Bednarzewskę za zanadto bierną, nadto mało „grającą“,



biorąc asumpt do tego twierdzenia z jej prostoty, i zupełnego pozbycia się chęci ciągłego interesowania sobą widza. Cała wina tu po ich stronie; są tak gruboskórni, iż niedostrzegalne są dla nich subtelności, jakiemi się posługuje pani Bednarzewska, aby uwidocznić wnętrzne pobudki duszy osoby działającej. Bo pani Bednarzewska nigdy dla tłumów grać nie potrafi, a choćby grała, działać nie będzie; nie ma bowiem tej afektacyi aktorskiej, co to z grubsza ciosając postać pewnej osoby, czyni ją temsamem przystępną zrozumieniu każdego widza. Natomiast tam, gdzie nie o silne zarysowanie konturów, ale o zgłębienie i umotywanie psychiczne danej postaci się rozchodzi, tam pani Bednarzewska jest niezrównaną. Uświadomiłem sobie to zupełnie dokładnie podczas przedstawienia „Hajduszka“. Panna Krystyna Drohojewska jest osobą „stateczną, nie zwykła swym myślom i uczuciom dawać wyraz pochwytny, woli je w sobie tłumić. Jedynie w całej jej postaci, w wyrazie twarzy, blasku oczu odbija się, jak w zwierciadle, całe życie jej duszy, jej głęboka melancholia... A na twarzy panny Drohojewskiej w interpretacyi pani Bednarzewskiej znajdywało natychmiastowy wyraz każde wzruszenie, każda myśl, każde uczucie, jakie sytuacyą i przebiegiem akcyi wywołanem zostało. A kiedy pani Bednarzewska przemówiła, to przysiągłbyś, iż koniecznie osoba, miotana takiemi uczuciami w takiej sytuacyi się znajdująca — takich właśnie słów, tak właśnie brzmiących użyć musiała.



Pani Bednarzewska jako Helena („Rodzeństwo“).

A w czemże większy tryumf dla wykonawcy pewnej roli, jeżeli illuzyę rzeczywistości i konieczności tak narzucić potrafi, iż widz ją bezwględnie przyjąć musi?

I tak mógłbym wyliczyć cały szereg postaci, w których owa harmonia między wyobrażeniem postaci, stworzonej przez dramaturga, a ucieleśnieniem jej przez p. Bednarzewska była idealną.

Owa więc zdolność przejawiania życia duszy i jej pobudek, która u współczesnego aktora tak wybitną odgrywa rolę, a u p. Bednarzewskiej jest - jak to powyżej uzasadniłem — najwybitniejszem znamieniem jej talentu, sprawia w dalszej swej konsekwencyi, iż postaci, w które pani Bednarzewska się wciela, owiane są tem mistycznem, słowami nieokreślonem tchnie-



Pani Bednarzewska jako „Rusałka“.

niem, dla którego Göethe użył terminu: „das Ewig-Weibliche“.

Przyrodzoną szlachetność, uczuciowość i wdzięk kobiety przeszczepić umie pani Bednarzewska w każdą postać, jaką gra. Czy to jako silna, własnowolna, duchowo się od przesądów społecznych i więzów towarzyskich emancypująca Helena („Rodzeństwo“ Grabowskiego), czy jako jej kontrast: Rusałka, dochodząca pod wpływem miłości do stopniowego zaniku woli indywidualnej („Dzwon zatopiony“) — zawsze i wszędzie uwidocznić potrafi p. Bednarzewska ów specyficznie kobiecy charakter postaci.

A środki, jakich do tego używa?... Tych niepodobna sobie uświadamiać. Wszystko przypisać trzeba instynktowi przyrodzonemu, który nawet podczas przeobrażenia się w najrozmaitsze typy kobiece nie pozwala zatrzeć, ale przeciwnie, z naj. większą doskonałością uwidacznia ów rys zasadniczy w istocie kobiety, owo w ramy słów nie dające się zamknąć „das Ewig-Weibliche“.

Henryk Zbierzchowski.

MUZYKA.

W ostatnim tygodniu odbyły się we Lwowie trzy cudowne koncerta: jeden skrzypka Burmestra, który po raz pierwszy okazał się w „muzykalnym“ Lwowie, a dwa naszego znajomego z lat ubiegłych Śliwińskiego. Burmester nas porwał, oczarował i zdumiał. Każda ocena gry tego olbrzymiego artysty sucha i przedmiotowa byłaby bezrozumną. Zużyte pochwały i frazesy także nie odpowiedziałyby wartości wykonanych przez niego kompozycyi. Jedynie „nastrój“, jaki panował w sali Domu Narodnego podczas koncertu, a po koncercie wspomnienia czyste przeżytych wrażeń, gdyby dały się uchwycić w jakąś muzykalną i piękną formę słowną, może oddałyby choć cząstkę tej rozkoszy estetycznej, jaką nam pozostawił w duszy olbrzymi artysta. W tej samej sali porywał przed niedawnemi czasy Kreisler swoim cygańskim, rozwichrzonym temperamentem, zdumiewał Thomson olimpijską powagą mroźną i północną i obliczeniem każdej nuty, każdego tonu, który podawał słuchaczowi do wyczuwania, zachwycał Soret subtelnym i delikatnym pociągnięciem smyczka i koronkową techniką, ale Burmester, zjednawszy w sobie wszystkie możliwe doskonałości, zmusił nas do takiego słuchania, które dech zapiera w piersi i miał za akompaniamet bicie przyspieszone serc młodych i zdolnych do entuzyazmu pod wpływem słonecznego promieniowania czystej sztuki.

Śliwiński zachwycił nas ogromnie Schumanem i Chopinem. Darujemy mu już wszystkie karkołomności Liszta, w których wolelišmy podziwiać bajecznie szybkie i pełne wdzięku poruszenia rąk i palców tego artysty, niż słuchać tego nagromadzenia gam, pasaży i tonów, które jednak wywołują zawsze zachwyt u szerszej publiczności. Także Bach był wykonany zbyt romantycznie i nie leżał widocznie w usposobieniu Śliwińskiego. Ale Schuman i Chopin w wykonaniu tego artysty porywa, odurza i wytrąca z równowagi dusze, ogłuszone codziennością i filisterstwem życia.

Sonata Chopina, jedno z największych (mój sąd subjektywny) arcydzieł muzyki, potężna jakimś niepojętym bolem i niespokojna aż do rozpaczy bezdennej marsza żałobnego, po którym następuje ostatnie presto, niby echo rozpaczne przebytej boleści — znalazła znakomitego wykonawcę w Śliwińskim. Jest on wielkim, bardzo wielkim wykonawcą Chopina, choć niema utartej marki Chopenisty...

W teatrze zmartwychwstała wiekowa staruszka „Marta“ i każe nam wierzyć w to, że jest młodą i potężną. Wykonanie tej opery, która powinna już bezpowrotnie spocząć w archiwum, było rozpaczliwie mdłe.

Nowości literackie.

Mieczysław Gliński. „Poezye“. Warszawa 1900 r.

P. Mieczysław Gliński odziedziczył talent i temperament poetycki po ojcu swoim — Kazimierzu. Utwory jego dźwięczne i melodyjne, o formie poprawnej i gładkiej, są prawdziwą pieśnią młodości. Zapał z nich bije i wiara w nową wiosnę, w zwycięztwo Prawdy, w tryumf ideałów.

Na tle poezyi współczesnej, p. Gliński zarysowuje się wyraźnie, jako indywidualność zdrowa, pełna ochoty i sił do walki, daleka od zdrętwienia i apatyi. Kto umiał wyśpiewać hymn, jak „Żeglarze“ — ten nie ustanie w pół drogi, ale do swojego słońca iść będzie, nie zawodząc i nie łamiąc rąk nad dolą własną; ten — nie przeklinając życia, będzie umiał uszczknąć na drodze swojej niejeden kwiat prawdziwego zadowolenia i niezatartej zwątpieniem rozkoszy.

Na jaskrawe efekty, na dobór słów niepospolitych i rymów szczególnych autor nie sili się nigdzie — jest prostym, niewyszukanym i nadewszystko szczerym, a szczerość ta stanowi o jego niewątpliwym talencie.

Do najlepszych utorów w zbiorku p. Glińskiego należy wiersz: „Może te gwiazdy, świecące w błękicie, to jakieś duchy...“ Bardzo ładne strofy zawierają także „Fantazya górska“, „Skarga topieli“ i „Bodaj to“.

*

Bronisław Grabowski. „Teorya literatury“ (stylu, prozy i poezyi) do użytku szkolnego i nauki domowej.

Od dobrego podręcznika wymagać się powinno przedewszystkiem jasności i ścisłości. Praca p. Grabowskiego, acz w stopniu nierówno miernym obiedwie te zalety posiada.

Jako pedagog mający za sobą długie lata doświadczenia, bez trudu mógł się zdobyć na wykład jasny i przystępny. Mniej mu się atoli powiodło z usiłowaniem zachowania ścisłości. Wprawdzie wykład swój pragnął on oprzeć na podstawach filozoficznych i w tym celu wprowadził do książki wywody naukowe, ale pomimo to pozostały w niej pewne luki, które wymagają dopowiedzeń.

Tak np. cały rozdział, poświęcony poezyi dramatycznej, nie został opracowany „ściśle“. Jest tam mowa o wszystkiem, nawet o „robocie“ scenicznej i o „antraktach“, ale — o istocie dramatu o *konflikcie dramatycznym* mówi autor bardzo pobieżnie, kiedy to właśnie dawało mu szerokie pole da zastosowania w wykładzie „postaw filozoficznych“.

Pominąwszy to jednak, książka p. Grabowskiego posiada wybitne zalety pedagogiczne i powinna znaleźć szerokie zastosowanie przy początkowej nauce literatury ojczystej. Na bliższą w niej uwagę zasługuje zwłaszcza dział, poświęcony teoryi stylu, który tak łatwo u nas zanieczyszcza się i traci swojskość, że człowiek, dobrze piszący po polsku, należy niemal do wyjątków w pokoleniu dzisiejszem. Jest to ostatnia praca zasłużonego literata, który, jak wiadomo, niedawno życie zakończył.

Z tygodnia.

Zima..

W lesie, niby w pałacu ze srebrnym dachem, z którego zwieszają się śnieżne stalaktyty szronu, siadł Mróz, spracowany aż do siódmego potu. Siadł, ogienek z jałowcu sobie zapalił i rozpamiętywać zaczął, ile to figlów dziś wypłatał i ilu ludziom dokuczył.

Oto chłopa, jadącego wozem na targ, ścisnął tak, że człeczysko ledwo ducha nie wyzionął; chłopaka, wracającego ze szkoły, wytargał za uszy tak złośliwie, że dziecina z płaczem pobiegła do matuli; dziewczynę jakąś w wykrocie uśpił. Daj Boże, aby ją ludzie przejeżdżający w porę znaleźli! Nawet sarnom zimę obrzydził, zającom młodym okrutnie dał się we znaki, a wróble latosie setkami porozrzucał bez życia na polu.

Tak sobie rozpamiętywa swoje czyny Mróz ludzi bezdomnych i bezopończnych kat i krzywdziciel, ale zbóż, okrytych pierzyną śnieżną, opiekun i przyjaciel.

Nagle nadstawił Mróz ucha, bo oto zdaleka dało się słyszeć brzęczenie dzwonków. Drogą jechały sanie, w tęgie zaprzężone rumaki; w saniach zaś siedziała młoda para. Od koni biły obłoki pary tak, że zdaleka sanie i ludzie wyglądali, jak bogowie olimpijscy w chmurach.

Patrzy Mróz, aż tu sanie stają i młodzi wysiadają, snać, aby zażyć przechadzki. Ona szła przodem, on zaś z tyłu zadumany i zapatrzony. Więc Mróz zaczął figle swoje: trzepał młodzieńca w ucho, schwycił go za nos, uszczypał w policzki, aż rumieńcem zabiegły. A gdy już sam się zmordował, tedy pyta:

— Zimno ci?

— Bogać tam zimno! — powiada chłopię — jakby kto na mnie ogniem narzucał!

— A nie słyszysz to, jak pod stopami panny śnieg chrzęści?

— Widzę, że pod stopami, gdzie przejdzie, wykwitają róże.

— Jakto, nie słyszysz jak ptaki kwilą, wrony kraczą radośnie a wicher okrutny szumi?

— Słyszę śpiewy cudne, niby chóry archaniołów, a błogosławię wicher, który mi chłodzi czoło...

Mróz pozostał w tyle, potem jeszcze popatrzył za odchodzącym i zasiadł znów koło swego ogienka w jałowcu. Potem jeszcze puknął się palcem w czoło i zakonkludował:

— Trzeba im dać pokój! Niech idą! Takim nie poradzisz! Albo waryaci, albo — zakochani...

*

Pisma warszawskie ogłaszają następujący list Henryka Sienkiewicza:

„Wszystkim okolicom kraju, wszystkim miastom, wszystkim instytucyom naukowym i społecznym, stowarzyszeniom klubom, redakcyom, oraz wszystkim osobom prywatnym, króre czynem, albo słowem raczyły wziąć udział w obchodzie jubileuszowym mojej 25-cio letniej pracy piśmiennej, przesyłam wyrazy najserdeczniejszej podzięki i najgorętszej wdzięczności“.

*

W Budapeszcie ogromne wrażenie wywarło samobójstwo byłego ministra handlu, gener. komisarza na wystawie paryskiej, dr. Lukacsa. Wobec najzmaitszego rodzaju pogłosek, wywołanych tym tragicznym wypadkiem, stwierdzają wszystkie poważne dzienniki, że krok rozpaczliwy dr. Lukacsa był następstwem jego silnego rozstroju nerwowego, który zauważono u niego zaraz po powrocie z Paryża, gdzie uginał się formalnie pod nawałem pracy. Rachunki z wydatków na reprezentacyę węgierską podczas wystawy, pozostawił we wzorowym porządku.

Wydawca: **K. Kołakowski.** Odpowiedzialny redaktor: **Wład. Strzelecki.**

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.

DROBNE OGŁOSZENIA.

Ubrania frakowe i salonowe wypożycza S. BAUM — Lwów, Sykstuska 8.

Rynek liczba 14.

Obok przystanku kolei elektrycznej. — *Obok filii fabryki cukrów Brandstädter & Singer.*

Niniejszem mam zaszczyt zawiadomić Szanowną P. T. Publiczność, iż ponownie otworzyłem we Lwowie

w Rynku liczba 14

obok samego przystanku kolei elektrycznej i filii fabryki cukrów Brandstädter & Singer

Wyrąb mięsa wołowego

najlepszego gatunku z wołów wypasanych własnego tutejszego bicia

jakoteż mięsa cielęcego

Ceny najumiarkowańsze.

Zapewniając za szybką usługę, upraszam uprzejmie o łaskawe odwiedziny i kreślę się

Z głębokim szacunkiem

1—3 **E. Römer**

Rynek liczba 14

Spółka owocarska w Nadwórnie

Stowarz. zarejestr. z ogr. poręką poleca

Szampan jabłkowy butelka	zł.	1·50
Wino jabłkowe "	"	—·25
" " 1 l.	"	—·22
" gruszkowe butelka	"	—·27
" " 1 l	"	—·30
" porzeczkowe białe i czerwone butelka	"	—·45
" porzeczkowe białe i czerwone ½ butelki	"	—·25
" borówkowe butelka	"	—·65
" " ½ butelki	"	— 35
Konfitury malinowe, ożynowe, śliwkowe, jabłkowe, dereniowe, z rajskich jabłek ½ kg. słoik	"	—·70
Powidła śliwkowe słoik	"	—·35
" gogodzowe słoik	"	—·35
Galareta jabłkowa	"	—·45
Powidła śliwkowe przecierane 1 kg	"	—·36
Śliwki suszone 1 kg	"	—·28
Gruszki kandyrowane 1 kg.	"	1·—
Sok malinowy 1 l.	"	1 60
Miód górski w słoikach po 32, 50, 80 i	"	1 15
Miód górski 1 kg.	"	—·70
Jabłka 1 kg. 10 ct do	"	—·18
Gruszki 1 kg. 10 ct. do	"	—·12

Prosimy o łaskawe poparcie naszych dążności. 2—2

Sklep Spółki mieści się w tut. ratuszu.

Wspierajmy Przemysł krajowy.

Krajowy Związek przemysłowy Krajowa Agencya przemysłowa.

Poleca w największym wyborze:

Płótna od najgrubszych do najcieńszych, apretowane i nieapr. **Bielizna** stołowa, cierki, ręczniki, chustki, drelichy. **Płócienka** kolorowe. **Sukna** modne i na ubrania studenckie i sokole. **Burki** i bundy sławuckie. **Koce** na łóżka i konie. **Portyery i firanki. Kilimy,** makaty buczackie **Kosze i kufry,** meble bambusowe. **Wyroby powroźnicze. Majolika** kołomyjska i rzeźby. **Gotowe** ubrania męskie i wyprawy. 16—24

W Bazarach: we Lwowie ulica 3-go Maja l. 5., w Krakowie Rynek l. 20., w Nowym Sączu, w Przemyślu, w Tarnopolu.

L. J. Malewski

we Lwowie, ul. Ormiańska l. 12.

poleca wyrabiane w swej fabryce

KORKI

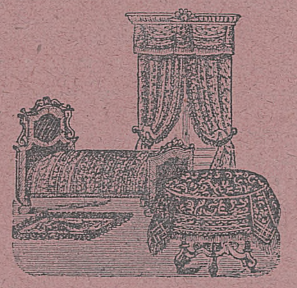
do beczek i butelek

w lepszej jakości od zagranicznych, jakoteż drzewo korkowe, koła do mielenia jagieł, oraz podeszwy i koreczki damskie. 5—12

Gotówka nie wymagana.

Ulgi w spłatach wedle umowy.

Cenniki na prowincyę na żądanie gratis i franco.



Wszelkie możliwe gatunki dywanów salonowych, ściennych, pokojowych i kościelnych tudzież chodników, portyer, firanek, cerat linoleum, kap na stoły i łóżka, kołder, koców, der na konie i przedmiotów dekoracyjnych poleca znana i renomowana firma

Wiedeński magazyn i skład dywanów

„AU LOUVRE“

we Lwowie, ul. Sykstuska l. 6.

(pasaż Hausmana)

Filia w Przemyślu ul. Mickiewicza l. 4.

Prawdziwe perskie i oryentalne dywany po zniżonych cenach. — Specyalny oddział resztek i towarów wysortowanych i wadliwych. 6—44

TUTKI

ze specyalnej bibułki „ABADIE“

„PRIMUS“

są powszechnie uznane za najlepsze!

Wszędzie do nabycia.

FABRYKA LWÓW MICKIEWICZA L. 2

10—52

61

lat istniejący

Handel sukna i towarów wełnianych modnych

poleca

Jan Wallach i Syn

Lwów — Rynek 33.

9—12

Jako dobrą i pewną lokacyę

polecamy

4% Listy hipoteczne koronowe,
4½% Listy hipoteczne,
5% Listy hipoteczne premiowane,
4% Listy Tow. kred. ziemskiego,
4½% Listy Banku krajowego,
4% Listy B nku krajowego,
5% Obligacye komunalne Banku kraj.
4% Pożyczkę krajową,
4% gal. Obligacye propinacyjne,

Papiery te sprzedajemy i kupujemy po najdokładniejszym kursie dziennym.

Kantor wymiany

c. k. uprzyw. galicyjskiego akcyjnego

Banku hipotecznego.

2—52

Franciszek Zeizer

właściciel fabryki wyrobów stolarskich

otworzył

MAGAZYN MEBLI WŁASNEGO WYROBU

we Lwowie, ul. Wałowa 11.

Posiada na składzie orzechowe i mahoniowe urządzenia, jako to: jadalni, sypialni, salonów itd. z najlepszego materyału po najtańszych cenach i poleca się łaskawym względom P. T. Publiczności. 8—12

⚒ WĘGIEL ⚒

GÓRNOSZLĄSKI I WĘGIERSKI

całemi wagonami oraz częściowo

u firmy

K. GOSTYŃSKI i J. ALS

we Lwowie, Czarnieckiego l. 3.

(Węgiel węgierski przeszło 30% tańszy).

Drzewo na opał bukowe i sosnowe.

Telefon Nr. 537. **Telefon Nr. 537.**

11—14

DRUKARNIA

„DZIENNIKA POLSKIEGO“

(Dra Feliksa Woynarowskiego)

we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

(obok placu Chorążczyzny)

przyjmuje do wykonania

wszelkiego rodzaju druki

jako to:

Czasopisma, Dzieła, Sprawozdania, Tabele gospodarskie, Kwitaryusze, Spisy potraw, Cenniki, Rachunki, Bilety wizytowe, Koperty wizytowe, Koperty, Listy, Afisze i t. p.

i wogóle wszelkie w zakres drukarstwa wchodzące roboty po cenach nader przystępnych.

Zamówienia tak miejscowe jakoteż zamiejscowe wykonują się w najkrótszym czasie.

Z drukarni „Dziennika Polskiego", ul. Cicha 5.